W numerze: NOCNA AKCJA Zbigniew Sławian-Orliński str. 9

CENA 2 ZŁ

Kamena

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

LUBLIN 23.VI.1968 Nr 13 (394) R. XXXV DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

ZAMOŚĆ ŻEGNA MR BROWNA

Ireneusz J. Kamiński

UOGÓLNIAĆ to my potrafimy — szybko i jednoznacznie. Brak rzodkiewki w sklepie spożywczym łacno rodzi uwagi o porządku państwowym, przerwa w dopływie prądu powoduje krytyczne refleksje wokół założeń ustrojowych. Skłonni jesteśmy interpretować w najwyższej społecznie tonacji wszelkie drobne niedociągnięcia w organizacji życia codziennego, gołe fakty, fakciki i sprawki wystarczają do generalnych ocen, rzadko kiedy starcza nam cierpliwości do odszukania właściwych i konkretnych przyczyn powstania sytuacji, która budzi w nas tzw. mieszane uczucia.

Z drugiej strony, prawem paradoksu, kiedy pojawia się skomplikowany problem, domagający się wielostronnego spojrzenia, prowadzącego do syntetycznych wniosków, patrzymy tylko — jak wół na malowane wrota — na fragment całości, wybrany zgodnie z zasadą „widzi mi się". Jakie efekty przynosi taka „metodologia widzenia", ilustruje przykład Zamościa.

Kilkuletnia kampania prasowa przyzwyczaiła opinię publiczną kraju do identyfikowania Zamościa ze staromiejskim zespołem zabytkowym klasy zerowej, czyli najwyższej, opatrzonym we wszystkich bedekerach międzynarodowych największą liczbą gwiazdek. Maluczko, a historia Zamościa znajdzie osobny rozdział w podręcznikach szkolnych, zaś życiorysy ordynata Zamoyskiego i architekta włoskiego Bernardo Morando staną się żelazną pozycją wszelkich zgaduj-zgaduli. Jeśli do tego dojdzie, odnotujemy sukces wysiłków dziennikarzy i historyków sztuki, albowiem o kulturze narodowej nigdy nie za wiele... Gdyby wiedziano coś jeszcze o współczesnym Zamościu...

Wrzawa wokół zamojskiej Starówki była, oczywiście, w pełni uzasadniona wartością historyczno-artystyczną zespołu, który zaniedbywany przez długie lata, ginął śmiercią techniczną; grube mury przesiąknięte wilgocią naturalną i obywatelską pękały od fundamentów do szczytów. Niby-renowacja fasad kamieniczek rynkowych w latach 1956/57, polegająca na optymistycznym ich podkolorowaniu, pomogła tyle, co puder wiekowej staruszce.

Kamień padał gęsto, więc kiedy na horyzoncie państwowym pojawiły się pierwsze oznaki pomyślnych dla Zamościa wiatrów, dokładnie zbadano stan zachowania budynków Starego Miasta. Wyniki zaniepokoiły najbardziej opanowanych i statecznych obywateli, aczkolwiek nie wywarły większego wrażenia na tubylcach, oswojonych z żałosnym jękiem stropów i mozaiką pękających sklepień. Okazało się, że jedna piąta budynków uległa zniszczeniu w 70 i więcej procentach, połowa w 50— 60 proc., a ponad jedna czwarta w 35—50 proc.

Dziś jeszcze usłyszeć można pełne wyrzutu pytanie: czy kilkanaście powojennych lat nie wystarczyło gospodarzom Zamościa na zorientowanie się w katastrofalnej sytuacji Starówki, kiedy nawet ślepy mógł się o tym przekonać, choćby po stęchłym zapachu, jaki unosił się nad tym rejonem miasta?! Nie mam wystarczających dowodów, aby bronić lub oskarżać ludzi odpowiedzialnych za Zamość w kilkunastu powojennych latach. Mogę jedynie napiętnować — w ślad za innymi — jednostkowe decyzje ówczesnego architekta miejskiego, człowieka nie pozbawionego sprytu, którym zastępował brak odpowiedniego dyplomu, choćby za jego pomysł flancowania kwiatków na renesansowym rynku, od wieków wykładanym kamiennymi płytami. Mogę natomiast wskazać ogólniejsze przyczyny tego zaniedbania.

(Dokończenie na str. 6)

Helikoptery ze Świdnika

Jerzy Dostatni

JAK dotychczas dwa razy w życiu zajmowałem się handlem. Raz w czasie okupacji, gdy m.in. byłem jedynym dostawcą greckiej chałwy do Lublina, drugi — w roku 1963, gdy przyczyniłem się do sprzedaży „na wolnym rynku" dwóch helikopterów z Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku. Z rozliczenia wypadło, że producentowi została nadwyżka w postaci dwóch maszyn. Ponieważ rzecz jest droga — grubo trzeba dopłacić do najwyższej wygranej w Totka — i nie każdemu potrzebna, o nadprogramowego nabywcę nie było wcale łatwo. Opublikowałem wtedy w „Kurierze Lubelskim" wiadomość o tej niezwykłej ofercie, notatka obiegła całą prasę polską i nabywcy znaleźli się.

WSK w Świdniku znana jest szeroko w kraju jako fabryka motocykli. O wyrabianych tam helikopterach — zwanych przez fachowców uparcie śmigłowcami — mówi się rzadko i półgębkiem. A przecież jest to jedyna wytwórnia helikopterów w państwach socjalistycznych, nie licząc, oczywiście, ZSRR. Mieszkańcy Lublina niemal każdego pogodniejszego dnia mogą zobaczyć ich smukłe, aerodynamiczne sylwetki, gdy maszyny wykonują loty doświadczalne, treningowe czy szkoleniowe.

I chyba nie tylko mnie zastanawiało zawsze to, dlaczego poza wirnikiem z wielkimi łopatami nad kabiną znajduje się jeszcze dodatkowe śmigło po prawej stronie ogona, którego oś jest prostopadła do osi samego kadłuba. Było to więc pierwsze pytanie, jakie zadałem pracownikom WSK oglądając ustawiony na biurku wielki model produkowanego właśnie Mi-2. Moi informatorzy — a przede wszystkim mgr inż. Zbyszko Kodłubaj, dyrektor Zakładu Doświadczalnego przy WSK, zrobili mi na ten i inne tematy długi wykład, który poniżej staram się streścić.

Aby przejść do ogona, trzeba zacząć od przodu, a właściwie od góry. W zwykłym samolocie — tłokowym, turbinowym, lub odrzutowym — wytwarzana przez silnik siła służy do tego, aby maszyna posuwała się do przodu. Kierunek działania siły jest równoległy do osi podłużnej samolotu. W helikopterze wirnik jest usytuowany prostopadle do osi lotu. Chodzi jednak o pochylenie siły nośnej do przodu, inaczej maszyna tylko podnosiłaby się do góry, ale nie leciała do przodu.

(Ciąg dalszy na str. 4)

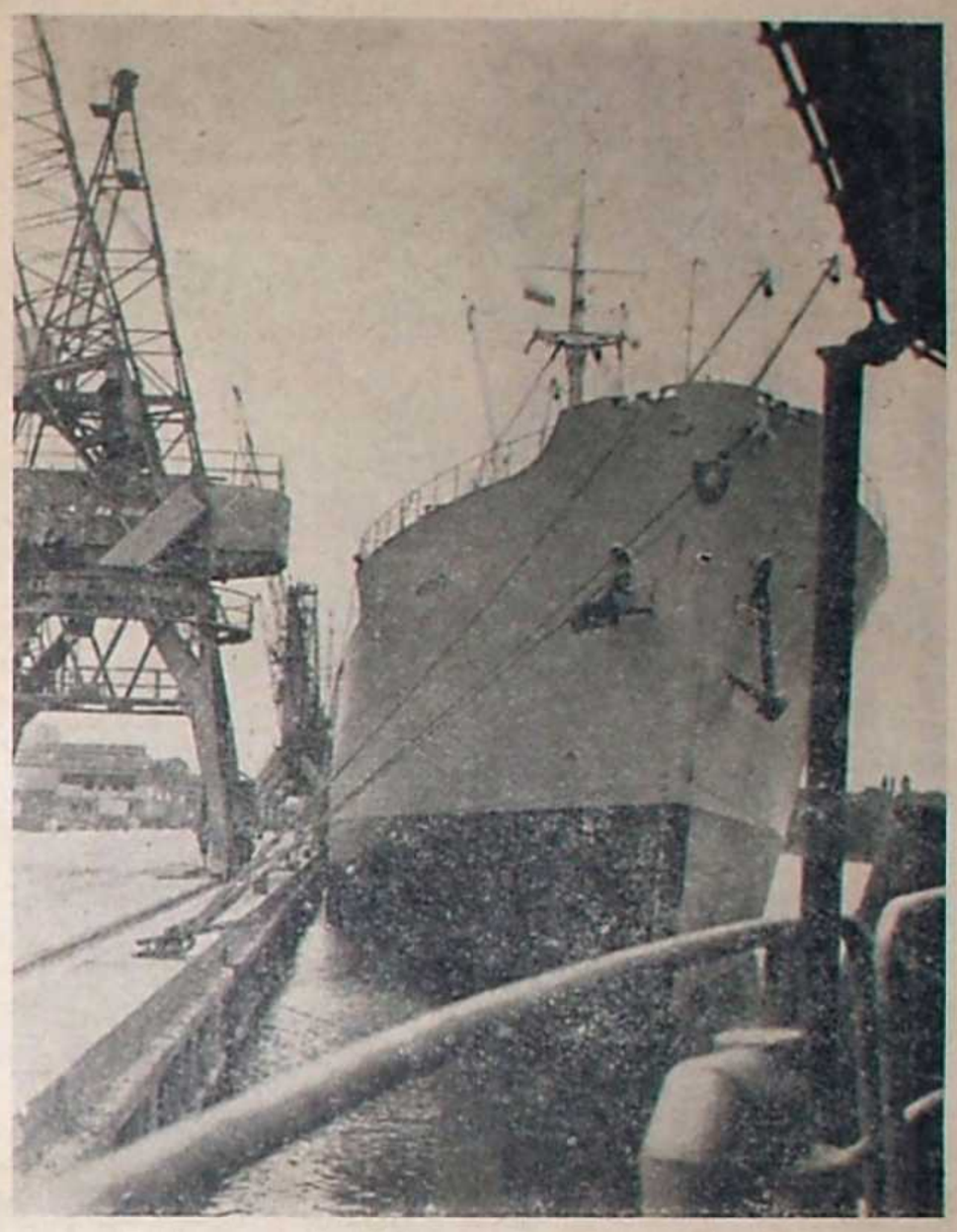

DNI MORZA

W następnym numerze reportaż z akcji ratowania łodzi podwodnej

Spór o miasta (II)

Nasz układ planetarny

Janusz Danielak

POPRZEDNIO, w artykule „Prowokuję do dyskusji" (Kamena nr 12) pisałem ogólnie o sieci miast Lubelszczyzny. Sieci dość dziurawej... Tym razem jednak, zamiast w rybołówstwie, wolę poszukać metafory w bardziej modnej astronomii. Porównanie jest nieco naciągane, ale pozwoli mi od razu zwrócić uwagę na rzecz dość istotną, a raczej — przypomnieć ją: miasta nie istnieją same dla siebie, ani same w sobie. Utrzymuje je i ruch im nadaje skomplikowany układ sił grawitacyjnych. Jeśli o tym nie będziemy pamiętać, nie zrozumiemy też w pełni „obrotu rzeczy".

Jednakże nie są to „rzeczy niebieskie". Stąd też ruch ich, w pewnych granicach przynajmniej, możemy regulować. Nie zawsze jednak chcemy. Nie zawsze też potrafimy. Czasem także dają tu o sobie znać wpływy innych „układów".

Teraz jednak — krótki zwiad, nie w kosmicznej rakiecie jednak, lecz w wysłużonej reporterskiej „Warszawie".

Słońce — ale nieco zaćmione

Słońce — to oczywiście Lublin. Czasem żal, że nie ma w województwie słońca konkurencyjnego. Tak jak Bydgoszcz ma Toruń, Kielce — Radom, a Rzeszów — Przemyśl. Konkurencja bowiem może by zwiększyła promienistą energię i większy byłby miasta blask. Nieraz za opłotki nie sięga — jeśli można mówić o opłotkach słońca.

Niemniej — miasto piękne i miasto dynamiczne. W ciągu dwudziestu lat — dwukrotny wzrost liczby ludności. W przyszłości możemy się spodziewać miasta półmilionowego. Reguła dość trywialna — wraz z wielkością miasta zwiększa się jego moc przyciągania. Nie można jednak tego powiedzieć o sile promieniowania.

Lublin jest — ze swymi 220 tysiącami mieszkańców — dziesiątym miastem w Polsce. Województw zaś mamy osiemnaście. Już z tych dwu liczb matematycznie niejako wynika jego rola „ponadwojewódzka". A w praktyce?

W rzeczywistości, obok ważnej roli lubelskiego przemysłu — tylko jako ośrodek szkolnictwa wyższego Lublin promieniuje poza granice województwa, poza granice kraju nawet. W dziedzinie kultury nie dzieje się u nas prawie nic godnego uwagi całej Polski. W ciągu 24 lat nie dorobiliśmy się nawet stałej ogólnopolskiej imprezy kulturalnej, czym pochwalić się mogą przecież miasta powiatowe — ostatnio na przykład Słupsk. Jako ośrodek kultury Lublin z trudnością tylko — a i to nie zawsze — zaspokaja potrzeby mieszkańców samego miasta.

Podobnie dzieje się, niestety, z różnego rodzaju usługami, z handlem przede wszystkim.

Od strony czysto urbanistycznej patrząc — przy wszystkich istniejących błędach i wypaczeniach, uwzględniając aktualne nawet konflikty — Lublin jest miastem najracjonalniej zaplanowanym. Śródmieście — ze swym jądrem: Centrum. Dzielnice przemysłowe na dalekich peryferiach, oddzielone pasmami zieleni od dzielnic mieszkaniowych, podzielonych z kolei na osiedla. I racjonalna sieć komunikacyjna.

W tym ostatnim wypadku najwyraźniej widać, że opis nasz dotyczy miasta, ale — miasta na papierze. W rzeczywistości żadna z trzech głównych arterii nie istnieje. Miasto dławi się już od dawna — i wkrótce szczęśliwie nam się udławi, jeśli wciąż stosować będziemy tylko półśrodki, właściwe zabiegi odkładając z roku na rok, z pięciolatki na pięciolatkę. Podobnie, w większości tylko na papierze, istnieją dzielnicowe ośrodki usługowe.

Ale problem najpoważniejszy — to lubelskie Centrum. Centrum administracyjno - usługowo - handlowe, które ma obsługiwać nie tylko mieszkańców Lublina, ale także całe województwo.

Ukształtowało się ono w zeszłym wieku na potrzeby miasta ledwie kilkudziesięciotysięcznego, województwa gospodarczo bardzo zacofanego. Czy podoła nowym, wciąż wzrastającym obowiązkom? A może trzeba je „przenieść" na inne miejsce?

Większość lublinian, ze względów raczej historyczno-sentymentalnych, mówi — nie. Lubelscy urbaniści również mówią — nie. Centrum „podoła", nawet gdy Lublin stanie się miastem półmilionowym, jeśli... I tu trzy co najmniej warunki. Po pierwsze: jeśli nastąpi prawidłowy rozwój usług w dzielnicach, co zmniejszy napór mieszkańców miasta i strefy podmiejskiej na Centrum. Po drugie: jeśli połowa mieszkańców Centrum przeniesie się do innych dzielnic, a opróżnione lokale zostaną prawidłowo przystosowane do funkcji usługowych. Po trzecie: prawidłowa zabudowa nielicznych wolnych placów, uzyskanie nowych przez wyburzenie różnego rodzaju ruder i bud.

Niestety, wszystkie te warunki spełniane są w stopniu bardzo niezadowalającym. I dlatego osobiście — ale nie w samotności — trochę się boję owego Lublina półmilionowego. Może lepiej uciekać do Chełma lub Zamościa? Ale tam są podobne problemy...

Planety konkurencyjne

Sądzę, że pasjonujący byłby turniej tych dwu miast: Chełma i Zamościa. Oba mają świetną przeszłość, choć Chełm na pewno bardziej starożytną, wciąż coraz głębiej przez profesora Zina odgrzebywaną. Równie piękne też mają perspektywy — w roku 1985 mają to być miasta siedemdziesięciotysięczne. Przede wszystkim dzięki rozwojowi przemysłu. Ale i oświaty, ale i turystyki — o której wciąż tak niechętnie myślimy.

Chełm w okresie międzywojennym nie rozbudowywał się nazbyt dynamicznie. Pewne ożywienie przyniosła decyzja przeniesienia tu z Radomia Dyrekcji Kolei. Powstała nowa dzielnica, do dziś „Dyrekcją" zwana, choć DOKP — jak wiadomo — przeniosła się do Lublina i to — nie wiadomo już po co — do samego śródmieścia.

W głównym gmachu, dla Dyrekcji zbudowanym, w 1944 r. przez kilka dni pracował PKWN. Jednak fakt ten, oprócz rocznicowych wspomnień, żadnych bezpośrednich realnych efektów raczej w mieście nie pozostawił. Nastąpiło nawet zjawisko dosyć zadziwiające: w ciągu pięciu lat liczba mieszkańców spadła o trzy tysiące. Nawet „Kamena" przeniosła się do Lublina...

Dopiero budowa cementowni dała początek dynamicznemu rozwojowi Chełma. Kreda stała się drożdżami miasta. Ale i tu objawiły się od razu wszystkie choroby bujnego wzrostu naszych miast. Niedorozwój usług. Znamy i w Lublinie „inwazję kiosków", ale w Chełmie kiosk jest „zasadą", podstawowym ratunkiem handlu. Jedyny hotel ma

(Ciąg dalszy na str. 4)

teatrnn.pl

Kultura 1968

Zmarli

☆ Lucjan Rudnicki, lat 86, wybitny pisarz i działacz rewolucyjny, autor głośnych pamiętników „Stare i nowe", które zapewniły mu trwałe miejsce w literaturze. Ukazały się one w 1948 r. W okresie międzywojennym ogłosił powieść „Odrodzenie" oraz zbiór opowiadań „Republika demokratyczna".

☆ Helena Bobińska, lat 81, autorka wielu książek dla dzieci i młodzieży, np. „O szczęśliwym chłopcu", „Pionierzy", „Zemsta rodu Kabunauri", „Lipniacy". Przed kilku laty ukazały się „Pamiętniki tamtych dni". Od najmłodszych lat była blisko związana z ruchem komunistycznym.

Literatura

☆ 25 maja z udziałem członka Biura Politycznego i sekretarza KC PZPR, Zenona Kliszki, odbyło się w Warszawie spotkanie 250 pisarzy — członków partii, reprezentujących wszystkie ośrodki w kraju. Dokonano krytycznej oceny sytuacji w środowisku literackim Warszawy i innych ośrodków, mówiono o zadaniach wynikających z wydarzeń, których widownią stał się warszawski oddział ZLP.

☆ 30 maja odbyła się narada pisarzy — członków ZSL oraz zaproszonych innych twórców ludowych. Zebrani m. in. odcięli się od nieodpowiedzialnych wystąpień niektórych pisarzy w marcu i kwietniu.

☆ Prezes Rady Ministrów mianował podsekretarzem stanu w Ministerstwie Kultury i Sztuki Czesława Wiśniewskiego, dotychczasowego sekretarza CRZZ.

☆ W dniach 7—9 czerwca w Katowicach i Jaszowcu w Beskidzie Śląskim obradował XI Zjazd Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych. Wielu pisarzy odwiedziło załogi zakładów przemysłowych. II Zjazd w 1959 r. odbył się także w Katowicach.

☆ W końcu września odbędzie się w Warszawie sesja, poświęcona literaturze, której tematem są sprawy wojskowe.

☆ W kwietniowym numerze miesięcznika „Inostrannaja Litieratura" ukazała się nowa powieść Jerzego Stefana Stawińskiego „Godzina szczytu" w przekładzie Zinaidy Szatałowej oraz omówienie powieści Bogusława Koguta „Jeszcze miłość", wyróżnionej nagrodą CRZZ.

☆ We Frankfurcie opublikowano korespondencję Tomasza Manna z Hermanem Hesse z lat 1910—55. Obaj pisarze byli emigrantami politycznymi i ich listy są świetnym dokumentem epoki.

Teatr

☆ Muzeum teatralne w Warszawie, które powstało przed 12 laty, posiada już 135 tys. eksponatów i materiałów dokumentacyjnych. Lista ofiarodawców niejednokrotnie unikalnych dokumentów i pamiątek obejmuje tysiąc osób.

☆ Jak się okazuje, sztuka Ibsena „Nora" cieszy się w Polsce dużą popularnością. W ciągu ostatnich 10 lat grano ją na naszych scenach ponad 1200 razy.

☆ Henryk Tomaszewski przygotowuje w Oslo widowisko pantomimiczne według baletu Griega „Peer Gynt".

☆ W maju minęło 100 lat od położenia kamienia węgielnego pod budowę Teatru Narodowego w Pradze. Inauguracyjne przedstawienie odbyło się dopiero w 1881 r. — była to opera narodowa Smetany „Libusza". Po dwóch miesiącach gmach spłonął, ale odbudowano go w ciągu 2 lat.

☆ Olbrzymim powodzeniem cieszyły się w Szwajcarii (Zurych, Lozanna i Vienne) występy teatru Wachtangowa. Grupa radziecka wystąpiła ze spektaklem Leonida Zorina — „Melodia Warszawy". Jest to historia miłości chemika radzieckiego i śpiewaczki polskiej, którzy najpierw nie mogą się pobrać, a potem spotykają się po 10 latach w Warszawie, a po następnych dziesięciu — ponownie w Moskwie i wtedy każde z nich ma już własną rodzinę.

☆ Gdyby proszono mnie o krótką definicję gry aktora — powiedział w wywiadzie Lawrence Olivier — powiedziałbym tak: jest to sztuka przekonywania. Najpierw siebie, następnie poprzez siebie widzów. Do stworzenia kreacji dochodzimy przez obserwację i intuicję. U szczytu swego natchnienia aktor staje się równy tym, którzy niosą jasność i ulgę ludzkiemu sercu — lekarzowi psychiatrze, lub — jeśli kto woli — duchownemu. Dalej już zajść nie można.

Sztuka

☆ W ramach odbywającego się w Warszawie II Międzynarodowego Biennale Plakatu otwarto w Wilanowie pierwsze w Europie Muzeum Plakatu. Wystawy pokazują osiągnięcia laureatów I Biennale Jana Lenicy, Kazumasa Nagai i Hiroshi Tanaki, a ponadto Wojciecha Zamecznika.

☆ „Człowiek w pejzażu przemysłowym" — to tytuł wystawy malarskiej, która w Zielonej Górze zainaugurowała dwutygodniową imprezę kulturalną pod nazwą „Konfrontacje", drugą z kolei.

☆ Inauguracyjna wystawa w koszalińskim pawilonie wystawowym obejmowała malarstwo, grafikę, rzeźbę i tkaniny artystów duńskich.

☆ I nagrodę na VI Międzynarodowej Wystawie Młodych Grafików w Wiedniu otrzymał Janusz Przybylski z Warszawy.

☆ Abstrakcyjny malarz francuski Philippe Bonnet maluje tylko obrazy, pokazujące światło przechodzące przez różne kolorowe przedmioty.

Muzyka

☆ Sejmowa Komisja Kultury i Sztuki omawiając działalność teatrów muzycznych wskazała m. in. na niepełne wykorzystanie możliwości przez Teatr Wielki, a także zbyt częste preferowanie na scenach trudnego repertuaru nowoczesnego.

☆ Polscy muzykolodzy doszli do wniosku, że wbrew dotychczasowym sądom czasy saskie były okresem wielkiego rozkwitu polskiej muzyki. Działało w tym czasie 25 kompozytorów polskich, w 70 miejscowościach istniało ponad 100 kapel, a za Augusta III nawet 170, niezależnie od zespołów, utrzymywanych przez magnatów. Muzyka świecka wyparła muzykę opartą na motywach religijnych.

☆ W dniach 2—4 czerwca odbyło się w Warszawie Międzynarodowe Spotkanie Chórów z udziałem 18 zespołów zagranicznych i 7 krajowych. Organizatorem było zasłużone Towarzystwo Śpiewacze „Harfa".

☆ 120 polskich muzyków występowało poza granicami kraju w ciągu 4 pierwszych miesięcy roku. W tym samym czasie zrealizowano ponad 80 proc. rocznego planu eksportu książek i płyt. Jedna z firm amerykańskich zamówiła nagrania wszystkich dzieł Chopina.

Archeologia

☆ Podczas porządkowania rejonu kopca Kościuszki w Krakowie znaleziono bardzo liczne kości mamutów, zgromadzone tam przez człowieka przedhistorycznego. Jest to pierwsze tego rodzaju cmentarzysko w Polsce, a trzecie w Europie.

☆ W Mikołowie koło Tych odkryto osadę garncarzy i hutników z XII—XIV wieku. Produkowano tam duże ilości ceramiki, wyrobów z ołowiu i żelaza.

☆ W pow. pyrzyckim odkryto i wstępnie zbadano 12 dużych osiedli słowiańskich z VIII i IX wieku, a w Starym Przylepie doszukano się nawet zabytków z okresu rzymskiego.

☆ Prof. K. Michałowski wygłosił 13 wykładów w Cambridge, Oxford i Durham na temat badań, prowadzonych przez polskich archeologów na Bliskim Wschodzie, a zwłaszcza o odkryciu bardzo cennych fresków w Faras.

☆ W miejscowości Behren-Luebchin w Meklemburgii odkryto grodzisko słowiańskie z IX—XI wieku. Był to gród warowny, prawdopodobnie możnowładcy Chocimira, o którym wspomina kronikarz duński Saxo-Gramaticus.

☆ Grupa amerykańskich i egipskich archeologów sporządziła 250 zdjęć rentgenowskich czaszek 40 faraonów i ich żon, m. in. Ramzesa II, twórcy wspaniałych budowli w Abu-Simbel. Jak się wbrew dotychczasowym poglądom okazało, przed 3, a nawet przed 5 tysiącami lat w Egipcie technika dentystyczna stała dość wysoko, sporządzano nawet protezy. Na papirusach znaleziono także recepty — np. płukanie ust (celem wzmocnienia zębów) napojem z mleka, daktyli i kaszy mannej.

Różne

☆ Z okazji tegorocznych Dni Oświaty, Książki i Prasy w całym kraju urządzono ok. 50 tys. imprez kulturalno-oświatowych, w olbrzymiej większości w małych miejscowościach.

☆ Znany dobrze i u nas radziecki zespół tańca „Bieriozka" obchodził 20-lecie istnienia. W zespole tańczy ponad 100 osób, kieruje nim Ludowa Artystka ZSRR Nadieżda Nadieżdina.

☆ Dwaj kompozytorzy niemieccy — Hans Werner Hanze z NRF i Paul Dessau z NRD — zrezygnowali z członkostwa zachodnioberlińskiej Akademii Sztuki. Powodem było to, że władze tej instytucji nie chciały przyjąć na członków kompozytorów: greckiego Mikisa Theodorakisa oraz (uwięzionego przez władze) południowokoreańskiego Isang Yuna.

Film

☆ Mija właśnie 10 lat od powstania Wytwórni Filmowej Wojska Polskiego „Czołówka". W tym czasie wyprodukowała ona ok. 600 filmów, głównie dokumentalnych. Obecnie pracuje się nad dwoma cyklami: „Polacy na frontach II wojny światowej" oraz „Pamięć tamtych dni", a przygotowuje trzeci: „Polska walcząca", o akcjach zbrojnych różnych oddziałów partyzanckich. Wytwórnia jest dalszym ciągiem Czołówki Filmowej Wojska Polskiego, która powstała przy I Dywizji Kościuszkowskiej 15 czerwca 1943 r.

☆ Leningradzka wytwórnia filmowa „Lenfilm" obchodziła 50-lecie powstania. Pierwszym z 600 filmów było „Upłotnienie" („Zagęszczenie") według scenariusza A. Łunaczarskiego.

☆ Zakupiono na nasze ekrany radziecki film „Annę Kareninę". W roli tej występuje Tatiana Samojłowa, która zdobyła międzynarodową sławę kreacją w „Lecą żurawie".

☆ Grigorij Czuchraj przystąpił do realizacji pełnometrażowego filmu dokumentalno-publicystycznego o bitwie nad Wołgą. Historyczne doświadczenie powinno być — oświadczył — jak najpełniej przekazane dzisiejszej młodzieży, która przecież będzie w przyszłości tworzyła historię.

☆ Orson Wells przygotowuje dwa filmy. Pierwszy to historia współczesnego Noe, który zabiera na arkę to wszystko, co powinno być ocalone ze współczesnej kultury i cywilizacji. Drugi opowiada o nowej rasie stworzeń, które rodzą się na ziemi i detronizują człowieka.

Raquel Welch od dwóch lat jest gwiazdą pierwszej wielkości filmu zachodniego. Po zagraniu kilku ról w USA wróciła do Europy i wypoczywa nad brzegiem Morza Śródziemnego.

Kamena str. 2

ANDRZEJ KOŁODZIEJEK, autor reprodukowanego obrazu, urodził się w 1935 r. we Włodawie. Studia, rozpoczęte w ASP w Krakowie, ukończył w warszawskiej ASP (1960) w pract. prof. Nacht-Samborskiego. Od r. 1958 udział w wystawach okręgowych i ogólnopolskich: Ogólnopolska Wystawa Plastyki w Radomiu 1962/64, „Wystawa 4 Województw" w Lublinie 1963, 1965, II Festiwal Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie 1964, I Sympozjum Artystów Plastyków i Naukowców w Puławach (1966), „Eksperyment 66" w Lublinie 1967. Wystawy indywidualne w Lublinie (1964) i Gdańsku (1967). Zakupy Wydziału Kultury PWRN. Uprawia malarstwo, projektuje wnętrza.

Fot. Z. Zugaj

Notes „Kameny"

Józef Barecki

Czyste szaleństwo

NAJFIERW było niedowierzanie. Przypominano sobie, ile to razy zrywała się do krótkiego życia pogłoska o możliwości rokowań między Wietnamem i Stanami Zjednoczonymi. Potem świat wstrzymał oddech. Niemożliwe stało się możliwe. *Jest to najważniejsze wydarzenie od zakończenia II wojny światowej* — napisała któraś z zachodnich gazet.

Rozmowy paryskie zbudziły nadzieję, uczucie, którego zaczynało brakować ludziom rozumiejącym niebezpieczeństwo konfliktu wietnamskiego. Nigdy chyba w historii nie stanęły naprzeciw siebie tak nierówne siły i nigdy chyba odwaga nie święciła większych zwycięstw. Prawdziwy w tym wypadku, a nie wykłamany Goliat, uzbrojony we wszystko, co myśl ludzka zdołała stworzyć w interesie zniszczenia, okazał się bezsilny wobec zwykłej procy narodu wietnamskiego. Zwyciężyć w tej wojnie może Goliat w jeden tylko sposób: przez zrównanie z ziemią napadniętego kraju i zniszczenie wszystkiego, co żyje i myśli, co może teraz i w przyszłości nosić broń, walczyć. Stany Zjednoczone dysponują potęgą, która to może uczynić. W Stanach Zjednoczonych są siły, które to proponują. Cóż jednak warte byłoby zwycięstwo, w którym nie byłoby zwyciężonego? Goliat zabrnął w dżunglę i błoto, w sytuację bez wyjścia: ani widoku na zwycięstwo, ani szans na przyzwoity odwrót.

Agresja amerykańska w Wietnamie jest w istocie agresją przeciwko sprawiedliwości, przeciwko podstawowym zasadom współżycia międzynarodowego, wymierzona została przeciwko szukającemu pokoju światu. Kataklizmy wywołuje jeden piorun, pożar powstaje z iskry. Amerykański żołnierz może w Wietnamie podpalić cały świat. Ludzkość zdaje sobie sprawę, że tego pożaru nie miałby kto gasić. Nagromadzone w nowoczesnych arsenałach środki zniszczenia są w stanie unicestwić życie na ziemi dwa tysiące razy. Wystarczy uświadomić sobie, co to znaczy unicestwić świat jeden jedyny raz. Nagromadzone środki zapewniają przy tym zniszczenie życia na ziemi przy użyciu co najmniej stu rodzajów broni. Wystarczy uświadomić sobie, co to znaczy zabić ludzkość przy pomocy jednego tylko rodzaju broni, śmiercionośnej chmury bakteriologicznej czy rozszczepienia atomu.

W chwili, gdy Paryż został wybrany na miejsce rozmów między DRW i USA, wielu ludziom wydało się, że świat znalazł się w jednym z tych rzadkich momentów, kiedy pokój stanął za najbliższym rogiem. Amerykanie rozwiali szybko te złudzenia. Przy stole rokowań postanowili osiągnąć to, czego nie udało im się zrealizować na polu walki: zmusić napadniętego do uznania przemocy i podporządkowania się obcym interesom.

Pokój nie stanął jeszcze za żadnym rogiem. W Stanach Zjednoczonych jest coraz mniej poparcia dla wojny wietnamskiej. Ale większości przeciwników Johnsona nie obchodzi los narodu wietnamskiego, ich protesty nie rodzą się z potępienia moralnej strony amerykańskiej agresji. Oni się złymają na bezsilność swego kraju, niepokoi ich zagrożony rzekomo autorytet amerykański, pozycja mocarstwa, które nie może sobie poradzić „z jakimiś tam żółtkami".

W Stanach Zjednoczonych wielu przeciwników wojny wietnamskiej byłoby za pokojem, ale takim pokojem, który by powalił na kolana Wietnam. Natomiast prawdziwy pokój nie ma zbyt wielu zwolenników. Coraz częściej pada tam pytanie: co będzie, jeśli zostanie nam wypowiedziany taki pokój? Co się stanie, jeśli pewnego dnia wojny staną się niemożliwe? Co się stanie ze Stanami?

Niedawno ogłoszone zostały wyniki badań jednego z poufnych zespołów amerykańskich, zorganizowanego dla udzielenia odpowiedzi, czy pokój jest dla Stanów Zjednoczonych pożądany. W skład zespołu wchodziło dwunastu ludzi o najwyższych kwalifikacjach intelektualnych. W wyniku dwuletnich badań zespół doszedł do wniosku, że pokój dla Stanów Zjednoczonych jest... czystym szaleństwem.

Dwunastu Amerykanów wyliczyło przyczyny, dla których pokój byłby niepożądany. Bez kredytów wojennych nie byłoby odkryć naukowych, postępu technicznego, nowych artykułów konsumpcyjnych, powstających w konsekwencji wynalazków dokonywanych dla armii. Bez wydatków na cele wojenne nie byłoby wysokich płac dla dużego odsetka ludności, a tysiące inżynierów i naukowców skazanych zostałoby na bezrobocie. Bez zbrojeń upadłyby całe gałęzie przemysłowe, regiony kraju, miasta.

Nie to jest jednak najważniejsze. Prof. J. K. Galbraith, który poręczył autentyczność raportu (żaden z jego autorów nie chciał ujawnić swego nazwiska), zastrzegł, że dwunastu „mędrców" jest jak najdalej od faszystowskich teorii na temat dobroczynności wojen. Wolą oni pokój, pragną go. Tylko stwierdzają, że *jeśli pokój zostanie dany USA, to z dnia na dzień ulegną zdemaskowaniu główne sprężyny, na których wspiera się społeczeństwo amerykańskie i które utrzymują względny ład w jego życiu.* Chodzi o to, że bajońskie sumy, łożone na cele wojenne, stanowią swego rodzaju „amortyzator", który zapewnia gospodarce amerykańskiej równowagę.

Amerykański budżet wojskowy jest tak wielki, że gdyby przeznaczono go np. na rozwiązanie problemu mieszkaniowego Murzynów, to w ciągu trzech lat wszyscy Murzyni mogliby uzyskać warunki mieszkaniowe nie gorsze od warunków białych. W Stanach Zjednoczonych jest wiele nędzy, świadczenia socjalne są złe, panuje kryzys w społecznej służbie zdrowia, oświacie. Można by kredyty wojskowe przeznaczyć na stworzenie takiej służby zdrowia, która zapewni wszystkim bezpłatną opiekę lekarską. Autorzy raportu stwierdzają, że jest to w praktyce niemożliwe. Wydatki na ochronę zdrowia nie będą tak elastyczne, jak wydatki na cele wojskowe, nie będzie można bez poważnych wstrząsów obciąć kilku miliardów, lub je dorzucić. Państwo, zamiast dysponować klapą bezpieczeństwa, dźwigać będzie ciężar stałych obowiązków. Podstawowym bowiem walorem wydatków na cele wojenne jest przede wszystkim to, że uzyskana dzięki nim produkcja wymyka się całkowicie spod praw popytu i podaży. *Wojna* — stwierdzają autorzy — *jest nie tylko konsekwencją naszego systemu społecznego ale stanowi jego przyczynę, jego podstawę.*

Zespół pracował na zamówienie znanych polityków amerykańskich. Doszedł do wniosków, które ilustrują kryzys systemu amerykańskiego i ujawniają jego nieludzką, zbrodniczą treść. Ameryce wojna jest potrzebna jak powietrze. Czy może być bardziej przerażające przyznanie się do winy?

u sąsiadów

NA pierwszej linii frontu" — pod takim tytułem ukazał się w tygodniku „Litieraturnaja Gazieta" artykuł pióra Michaiła Aleksiejewa.

Autor stwierdza, że literatura radziecka, która w okresie 50-lecia zawsze znajdowała się w centrum uwagi, obecnie „nagle wysunęła się na najgorętsze pole bitwy, na przednią linię batalii ideologicznej między dwoma zwalczającymi się światami: światem socjalizmu i kapitalizmu".

Aleksiejew — nawiązując do wypowiedzi L. Breżniewa na XIX konferencji moskiewskiej organizacji partyjnej — pisze, że teraz, kiedy imperialiści nie mają żadnej nadziei na unicestwienie ZSRR przy pomocy siły zbrojnej, główną uwagę poświęcają dywersji ideologicznej licząc, iż uda im się rozsadzić świat socjalistyczny od wewnątrz.

Autor artykułu, kontynuując swoje rozważania, stwierdza, że walka naszych wrogów wykracza daleko poza ramy sporów czysto teoretycznych. Do polemiki literackiej w sposób jawny, bezczelny i agresywny wnosi się elementy dywersji. Schwytany na gorącym uczynku i zdemaskowany przy pomocy niezbitych faktów pospolity przestępca, który znalazł się na ławie oskarżonych, ku wielkiemu naszemu (a zapewne i jego własnemu) zdumieniu przeżywa pod piórem burżuazyjnego pismaka — „entuzjasty prawdy" — dziwną metamorfozę: staje się nagle „wielkim", „znanym", „wybitnym" pisarzem, który ponoć walczył o prawdę, o „wolność słowa", a teraz cierpi za swą gorliwość. Ten nieskomplikowany chwyt stał się już szablonem, który bez najmniejszych prób ulepszania raz po raz puszcza się w obieg. Dziś podniesiono dziką wrzawę wokół nie znanych dotąd nikomu — Ginzburga, Gałanskowa i Dobrowolskiego, którzy w ogóle nie mają nic wspólnego z literaturą. W oczach całego świata odbywa się jawne i bezwstydne oszustwo, o którym trudno nawet mówić bez poczucia obrzydzenia. A jednak trzeba mówić, ponieważ ten i ów spośród naszych moskiewskich braci po piórze daje się złapać na tę niezbyt wyrafinowaną przynętę.

W dalszych rozważaniach Aleksiejew zwraca uwagę na niezdrową pogoń niektórych literatów za sławą za wszelką cenę. „Poruszam ten temat — stwierdza autor — ponieważ widzę, z jak ogromną niecierpliwością niektórzy nasi literaci, zwłaszcza młodzi, dążą do zdobycia jak najszybszego rozgłosu za granicą. Tam, gdzie uznanie osiąga się drogą ustępstw ideologicznych, słabo maskowanych perorami na temat jakiejś ogólnoludzkiej dobroci i jakiegoś abstrakcyjnego ponadklasowego humanizmu, w takim przypadku nie ma podstaw do radości".

W zakończeniu Aleksiejew wyraża pogląd, że sekretariat i komitet partyjny moskiewskiego oddziału Związku Pisarzy ZSRR znacznie się teraz uaktywniły i z pomocą miejskiego i dzielnicowego komitetu partii energicznie przystąpiły do usprawnienia całokształtu pracy ideowo-politycznej w organizacji pisarzy stołecznych.

DYSKUSJA O TEATRZE WOJEWÓDZKIM

ALARM TRWA!

Maria Bechczyc-Rudnicka

NA PIERWSZYM już wyzwolonym skrawku Polski dla wszystkich literatów, dziennikarzy, muzyków, plastyków, naukowców, dla każdego, kto miał szczęście brać udział w życiu kulturalnym „stołecznego Lublina" — konieczność upowszechnienia kultury i sztuki była wręcz aksjomatem, jako jeden z nieodzownych warunków demokratyzacji struktury społecznej państwa.

Aksjomat ten został przyjęty w zasadzie i przez ludzi teatru, tym łatwiej, że mogli oni poszczycić się przynależnością do ich środowiska „chorążego sceny polskiej", Stefana Jaracza, szczerego demokraty, który całe życie dążył do teatru upowszechnionego i pozostawił niejako skład zasad nazwany po śmierci wielkiego aktora jego „Testamentem".

Ku tym początkom nowego świata tworzonego w roku 44 wracam mimo woli myślą, gdy tylko w licznych dyskusjach o sztuce teatralnej dochodzi do ponownego wyznaczania jej adresata. Wszakże adresat został już ustalony przed dwudziestu cztery laty — jest nim ogół społeczeństwa.

Trzeba, niestety, stwierdzić, że owo uparte powtarzanie raz przyjętej zasady wygląda nader podejrzanie. Kiedy dzisiaj, w roku 1968, ktoś oświadcza: „Teatr mój widzę... powszechny", sugeruje ta grandilokwentna trawestacja autentycznego hasła schillerowskiego domysł, że teatr nasz jeszcze dotąd bynajmniej upowszechniony nie jest.

Sam fakt, że ludzie — fachowcy i niefachowcy — często się schodzą lub zjeżdżają, by podyskutować o teatrze: o repertuarze, frekwencji, widzu, należy niewątpliwie do zjawisk pozytywnych; dopiero wówczas ilość dyskusji zaczyna przechodzić w marną jakość, gdy rozmowa toczy się po błędnym kole, gdy deklaruje się namolnie „powszechność" teatru, czyniąc w praktyce znikomo mało dla jej godziwej realizacji.

W niniejszych rozważaniach, na które złożyły się spostrzeżenia z dłuższego okresu, pozwalam sobie posłużyć się przykładem dyskusji z udziałem przedstawicieli teatrów dramatycznych czterech województw wschodnich, którą zorganizowała niedawno „Kamena" w kieleckim Klubie MPiK.

Chodziło o sprecyzowanie modelu teatru wojewódzkiego. Redakcja, działająca w dobrej wierze, miała zapewne nadzieję, iż na spotkaniu kompetentnych reprezentantów kilku ważnych placówek państwowych wyłonią się wyraźne „propozycje reform życia teatralnego", a śladem ich pójdą i „konkretne decyzje". Otóż rezultat pięknej inicjatywy okazał się zgoła inny.

Był niegdyś czas, że gromadziło się pewne grono środowiskowe czy międzyśrodowiskowe, pośpiewało sobie radośnie unisono na jakąś wesołą nutę i to się zwało dyskusją, i to się nawet podsumowywało. Obecna narada kielecka zaprezentowała sytuację jakby odwrócona: grono zebrane w tamtejszym Empiku ograniczyło się do zapewnienia, iż widzi teatr swój powszechny, powtarzając zarazem metodą kanonu minorowe refreny na temat niezsynchronizowania planów repertuarowych z planami finansowymi. Toteż bardzo kurtuazyjnie postąpił red. Marek A. Jaworski rezygnując z podsumowania zbiorowej jeremjady, w jaką zamieniło się spotkanie czterech kierownictw teatralnych z przedstawicielami „Kameny" i kieleckiego Oddziału SDP. Gdyby zdecydował się na résumé dopieroż by musiał żywym słowem zdemaskować brak koncepcji długofalowego planowego działania w łonie bladających kierownictw, który to brak ujawnia się w relacji drukowanej mniej drastycznie.

A przecie się jednak ujawnił. Trudno.

Kluczowym problemem w planowaniu teatralnym jest poza wszelką wątpliwością zagadnienie planu repertuarowego. Jest ono naturalnym punktem wyjścia. Kierownictwo artystyczne teatru powinno przede wszystkim wiedzieć, co chce pokazać danemu społeczeństwu i po co. Plan musi być oparty na jakiejś koncepcji intelektualno-moralnej i artystycznej jak na osi, musi zrównoważyć swoje składowe pozycje, jak zrównoważa się w dobrym dziele plastycznym jego elementy. Toteż nie powinny trafiać do planu repertuarowego pozycje przypadkowe, wprowadzone doraźnie, zastępczo, na poczekaniu — ze względów pozaideowych i pozaartystycznych.

Śmiem twierdzić, iż rzetelne, do końca, przemyślenie repertuaru z troską o właściwy poziom prezentowanej sztuki teatralnej, o uczciwe wychowanie widza i dostarczenie mu godziwej, sensownej rozrywki, nie natrafi na przeszkody we wskaźnikach ekonomicznych, skoro — jak nadmienia sam dyr. J. Torończyk — dotacje *są zasadniczo z roku na rok podobne*. To podobieństwo likwiduje przecie przypadkowość od strony gospodarki teatralnej, sprzyjając właśnie spokojnemu ułożeniu repertuaru.

Kompletowanie zespołu jest dopiero sprawą następną. Kierownik artystyczny, o którym się wie, że ma istotnie coś do powiedzenia w sztuce, zawsze znajdzie potrzebnego aktora, bo film filmem, telewizja telewizją, a teatr żywego planu jest dla aktora sztuką „od serca". Tylko nie trzeba nabierać aktora na Hamleta bo nic tak nie zraża, jak niedotrzymanie przyrzeczeń. Stanowczo narzekania dyrektorskie na ucieczkę aktorów nie znajdują we mnie współczucia.

Niedawno poznałam teatr daleki od stolicy — Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Ma on te same problemy, co każdy teatr wojewódzki: niejednolitą widownię, objazdy, migrację aktorów itp., a przecie dyrektor i kierownik artystyczny teatru zielonogórskiego Jerzy Hoffmann, wraz z dojeżdżającym z Katowic prof. Jerzym Ziomkiem, kierownikiem literackim, zdołał ułożyć repertuar, który kształtuje smak publiczności, zamiast dostosowywać się do jej guścików. Zobaczyliśmy tu (Klub Krytyki Teatralnej SDP) dobre przedstawienie wczesnej tragedii Słowackiego „Mindowe", bodaj już pięćdziesiąte, z przednim humorem wykonaną komedię Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej „Baba-dziwo", finezyjnie granego Pintera („Kolekcja" i „Kochanek", czyli teatr superawangardowy — te spektakle wyprzedane są na kilka tygodni naprzód).

Plan przyszłego sezonu przewiduje m. in. „Wesele", „Wiśniowy sad", „Śmierć na gruszy" Wandurskiego, Wedekinda „Demona ziemi", Ionesco „Mordercę nie do wynajęcia", schillerowskiego „Don Karlosa", Szekspira „Troilusa i Kresydę", Schnitzlera „Korowód", farsę klasyczną (może Labiche'a), Rostworowskiego „Niespodziankę", „Jacusia" Lubowskiego itd. Jak widzimy — repertuar to wieloadresowy, rozmaity, ale nie eklektyczny. „Repertuar powinien bulwersować — powiada dyrektor Hoffmann — powinien być niepokojący, w żadnym wypadku nie „słodki".

I nikt w Zielonej Górze nie lamentuje z powodu ucieczki aktorów. Wiadomo przecie, że aktor jest wędrownym ptakiem. W rubryce programu „Z naszej kroniki" podaje się po prostu nazwiska artystów, którzy opuścili teatr zielonogórski, po czym znajdujemy sympatyczne zdanie: *Wszystkim życzymy pomyślności w dalszej pracy artystycznej!* Oto, co można nazwać dobrymi obyczajami. Nic też dziwnego, że przybyło do teatru dwukrotnie więcej osób niż z niego odeszło.

Teatr w Zielonej Górze planuje repertuar na dwie sceny, jak wiele dzisiaj teatrów w Polsce. I to jest zasadniczy warunek dobrego planowania repertuarowego — pisałam o tym dużo razy.

Natomiast dyrekcji lubelskiego Teatru im. J. Osterwy można i trzeba zarzucić, że właściwie unika ona zorganizowania drugiej sceny. Powiedzmy sobie otwarcie: kierownictwo naszego teatru zniechęciło inteligencję schlebiając gustom widzów niewybrednych, nie potrafiło zaś przyciągnąć na widownię w samym Lublinie widza masowego, którego przygotowanie do sztuki teatralnej przez szereg lat zaniedbywano. A teraz w obawie przed pustkami w siedzibie wypadło radzić sobie z trudnościami finansowymi wysyłając bezkrytycznie w teren wszystko, cokolwiek ma się w repertuarze.

Przyjął się nawet nie najlepszy zwyczaj „docierania" sztuk w powiatach, zanim się je pokaże na lubelskiej scenie. Komentarze są chyba zbyteczne.

W październiku 1944 r. opublikował Stefan Jaracz na łamach „Odrodzenia" artykuł pt. „O Teatrze Narodowym", w którym mówi m. in.: *Do tworzenia Teatru Narodowego trzeba wychować ludzi. Ma to być bowiem szkoła mowy polskiej, gestu, obyczaju i prawdziwe zwierciadło dla narodu.*

Jakże realizuje się u nas to arcysłuszne wskazanie?

Teatr im. Osterwy dysponuje obecnie 44 aktorami, tworzącymi trzy doraźnie zmieniające się zespoły. Każdy z nich już to gra na prowincji, już to w siedzibie, z tym, że po terenie stale jeżdżą te czy inne dwa. Teatr opracowuje jednocześnie trzy sztuki, niemal więc każdy aktor wracając do domu późno w nocy musi być nazajutrz o godzinie 10 (albo i dziewiątej) na próbie. Niechże mi powiedzą wobec tego fachowcy, gdzie tu miejsce na *szkołę mowy polskiej*, czyli — na *pracę aktora nad sobą*, jak wyrażał się niegdyś bardzo poczytny Stanisławski?

Istnieje jeszcze jeden czynnik źle wpływający na układ i poziom repertuaru. Jest nim zapamiętały, nieustający, prawie powszechny pęd do mieszczańskiego dorabiania się. Powoduje on działanie na zasadzie „do ut des" — czyli wymiany usług personalnych między kierownictwami: można wymienić np. adaptację na scenografię, scenografię na reżyserię, wystawienie przekładu też na coś niecoś itd.

Kto wie, czy nie te transakcje zamienne przewidywał m.in. Jaracz pisząc w swym referacie na Ogólnopolski Zjazd Delegatów ZASP-u: *Żądam — ach, — czy to nie za dużo? Sumienia i coraz to powiększających się szeregów tych, którzy przyjmują odpowiedzialność za sztukę w teatrze.*

Od czasu wypowiedzenia tych słów upłynęło bez mała dwadzieścia trzy lata. Polska Ludowa, w myśl postulatu upowszechnienia teatru, upaństwowiła wszystkie sceny zabezpieczając im podstawy bytu stałymi dotacjami, zapewniła byt ludziom teatru w takiej mierze, w jakiej nigdy przedtem zapewniony nie był. Ale żądała w zamian dobrego teatru narodowego i postępowego — dla całego społeczeństwa. Zastanówmy się uczciwie, czy to żądanie jest należycie spełniane w ostatnich latach choćby w naszym teatrze wojewódzkim? Zwłaszcza warunek *dla całego społeczeństwa?*

W tym miejscu przypominają mi się z kolei słowa Juliusza Kleinera z września odległego roku 1945: *Demokratyzacja nie na zniżaniu twórczości powinna polegać, lecz na przysposabianiu i podnoszeniu odbiorców, na przygotowaniu szerokich mas, by zdołały zrozumieć i odczuć dzieło wartościowe, na obudzeniu poczucia, że kontakt z literaturą i innymi sztukami podnosi człowieka w hierarchii społecznej, na przyzwyczajaniu do tego, by przede wszystkim książkę, a potem wszelkie dzieło sztuki uznawać za składnik istotny codziennego życia.*

Fakt, że stało się to truizmem dopiero od niedawna, że w ciągu ostatnich lat dziesięciu powodowani niezdrowym snobizmem zapominaliśmy o potrzebach widza niewyrobionego — naraził społeczeństwo na straty kulturowe, których odrobienie będzie wymagało forsownego wysiłku.

Tarnobrzeg awansował a co z Dzikowem?

Ryszard Dzieszyński

AUTOBUS podskakując na wybojach wjeżdża na tarnobrzeski rynek. Wokół spoglądają na nas okna jednopiętrowych kamieniczek, wzbija się wieża barokowego kościoła, a z cokołu pomnika wymachuje kosą Bartosz Głowacki.

Stare jest to miasteczko, założono je w XVI wieku. Początkowo była to osada kupiecko-rzemieślnicza, która miała zaspokajać potrzeby leżącego tuż obok dzikowskiego zamku hrabiów Tarnowskich. A potem osada zamieniła się w miasto i z czasem zmajoryzowała hrabiowski Dzików. Odtąd Tarnobrzeg stał się metropolią, Dzików zaś — jedną z jego dzielnic.

— Jakaż tam dzielnica! — śmieje się zaczepiony na rynku przechodzień. — Wystarczy stanąć przed „Bartkiem" i splunąć, a ślina upadnie na mur dzikowskiego zamku!

To przesada, lecz rzeczywiście od pomnika Głowackiego do hrabiowskiego pałacu jest krótka droga. Ale wzrok magnatów z pałacu nie sięgał tak daleko, nie dostrzegał dysproporcji między wspaniałościami pałacowych komnat, a nędzą i brudem rynku miasteczka.

Prawda, był czas, że właściciele Tarnobrzegu nadawali miastu przywileje, starali się u króla i stanów sejmujących o różne korzystne ulgi, jak np. prawo składu win, które szły tędy drogą lądową z Węgier do Warszawy, albo prawo urządzania trzy razy do roku jarmarków. Ale z biegiem czasu panowie miasta coraz rzadziej zwracali na nie uwagę.

Opodal pałacu mieszkał Jan Słomka, wójt dzikowski, tęgi gospodarz, energiczny działacz społeczny i znakomity pamiętnikarz. Był to okaz Matuzalema, pamiętał jeszcze czasy pańszczyźniane, a ponieważ umiał patrzeć, toteż jego pamiętnik wart jest czytania.

Otóż wójt Słomka pisał, że na tarnobrzeskim rynku rozlana była ogromna, śmierdząca kałuża, do której zlewano wszelkie nieczystości z całego miasta, i w której czochrały się świnie z całej okolicy. Gospodarze dzikowscy wypędzali je na rynek, wychodząc z założenia, że świnia może zjeść byle co i sama znajdzie sobie wikt. W okresach letnich upałów kałuża wysychała. Wtedy wywożono z niej całymi wozami szlam, który był najlepszym nawozem...

Wspaniały dzikowski zamek zbudował Jan Spytek Tarnowski, który zakupił Dzików w 1522 roku od Ossolińskich. Zamek miał kształt litery L, posiadał wieżę z zegarem. W XVIII wieku dobudowano do niego prawe skrzydło. Słynny architekt Lanci przebudował go w latach trzydziestych ub. wieku w stylu neogotyckim. Dzików stał się sławny ze swej bogatej biblioteki, którą założył Jan Feliks Tarnowski. Zachęcił go do tego przedsięwzięcia wuj, Tadeusz Czacki, znany bibliofil, założyciel Liceum Krzemienieckiego. Jan Feliks odziedziczył po ojcu pokaźny zbiór dzieł z XVI wieku, dodając do niego, zakupiony od oo. cystersów z Oliwy, cały klasztorny księgozbiór, bibliotekę pojezuicką z Sandomierza oraz ocalałą część biblioteki króla Stefana Batorego. W 1822 r. opat kielecki, ks. Hieronim Juszyński, sprzedał mu bogaty księgozbiór. Wiele książek zakupił Jan Feliks bawiąc w Italii; niestety, wskutek burzy morskiej część z nich uległa zatopieniu. W każdym razie Jan Feliks, umierając w Dzikowie, zostawił swoim spadkobiercom bibliotekę składającą się z ok. 16 tys. książek. Później dołączono do nich unikalne rękopisy, jak np. Kronikę Wincentego Kadłubka, Statut Łaskiego spisany na pergaminie, oraz Statuty Wiślickie z XIV wieku, a z nowszych rzeczy — rękopis „Pana Tadeusza".

Zbiory dzikowskie nie kończyły się na książkach. Wspaniała galeria obrazów Van Dycka, Józefa Verneta, Norblina, Orłowskiego, Bacciarellego, cykl pięknych miniatur z końca XVIII wieku, przedstawiający wszystkie wybitniejsze postacie epoki, malowany przez Wincentego de Lesseur-Lesserowicza. Najsłynniejszym jednak obrazem w dzikowskiej galerii był „Lisowczyk" Rembranta, który w 1910 roku Zdzisław Tarnowski sprzedał Amerykaninowi Clayfrickowi za olbrzymią sumę przeszło miliona koron. Prasa polska podkreśliła ten fakt z uznaniem: dzięki uzyskanym sumom Tarnowski mógł wykupić z rąk osadników niemieckich klucz Mokrzynowski w Galicji.

Z biblioteki dzikowskiej korzystało bardzo dużo osób. Brali z niej książki pracownicy dóbr Tarnowskich, oficjaliści, urzędnicy z Tarnobrzegu, a nawet bracia-szlachta z odległych nieraz stron. Czytelnikami biblioteki dzikowskiej bywali znani naukowcy i pisarze: Wacław Maciejewski, Kazimierz Bartoszewicz, Karol Estreicher, Kazimierz Morawski, Jan Piekosiński, Oswald Balzer, Jerzy Ulanowski, Stanisław Kot, ks. Józef Zaleski, Lucjan Siemieński...

Z tym ostatnim związanych jest kilka anegdot. Mianowicie Siemieński, po przyjeździe do Dzikowa, całymi dniami przesiadywał w lektorium i studiował stare manuskrypty. Marszałek dworu miał go za zaprzysiężonego mola książkowego, niemniej zapytał raz dla formalności:

— Może pojeździłby pan na koniu?

— To są tutaj konie? — zdumiał się Siemieński.

Od tej pory książki poszły w kąt. Przydzielony masztalerz miał pełne ręce roboty. Od rana do nocy Siemieński ujeżdżał konie. Marszałek dworu nabrał do niego sympatii: widać, że poeta nie jest znowu ta-

(Dokończenie na str. 5)

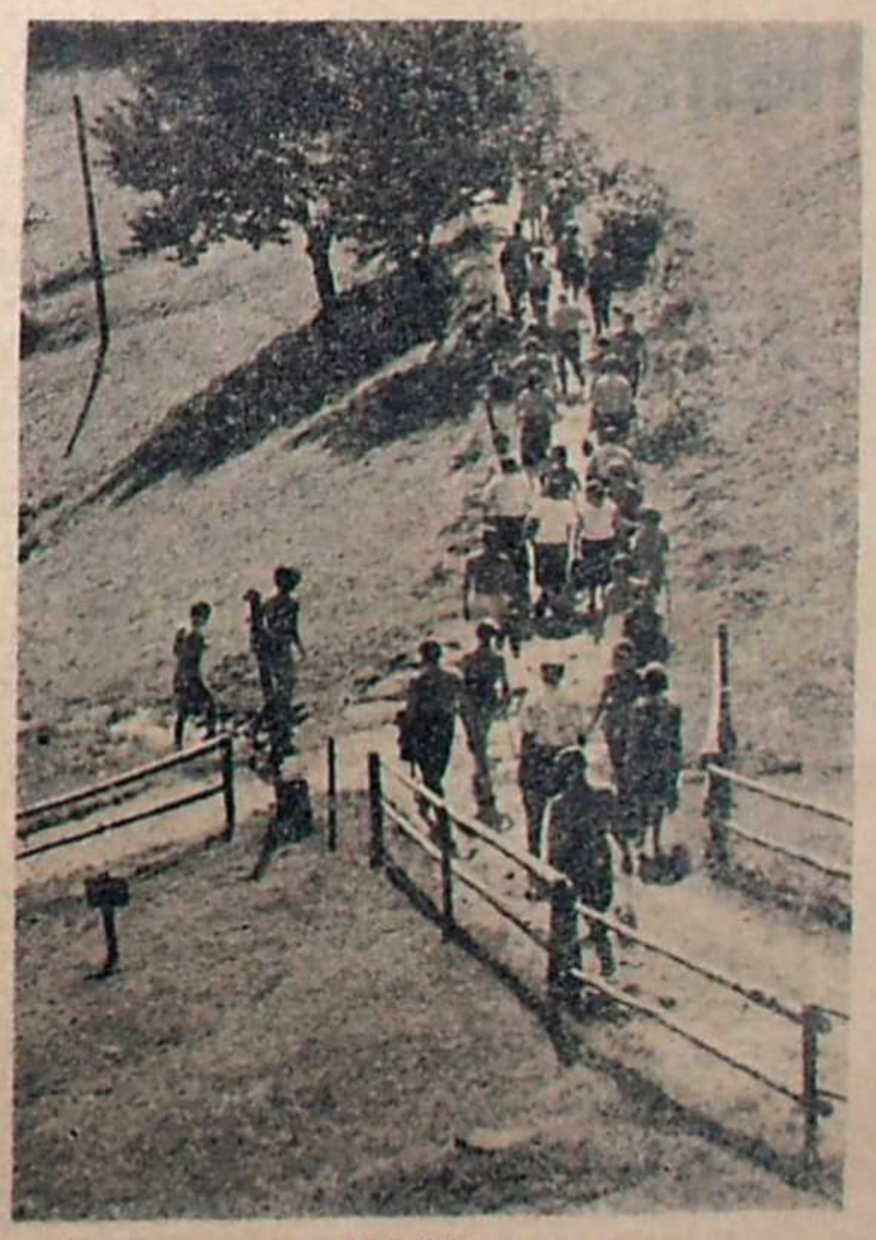

Lato, lato ...

Fot. Janusz Urban

W pięciolecie śmierci

Nazim Hikmet

Niedziela

Dziś jest niedziela,
po raz pierwszy na słońce wiosenne
wyprowadzono mnie z celi
i po raz pierwszy zdziwiło mnie niebo nade mną wysokie,
że takie jest modre i głębokie
i takie szerokie!
Postałem bez ruchu,
potem na ziemi usiadłszy, z szacunkiem
oparłem się
plecami o ścianę.
I nic w tej chwili nie potrzebowałem
ani wolności, ani żony.
Do szczęścia mi starczyły
ziemia i słońce — i ja nim olśniony! 1948

Jak ci się powodzi?

W szczęśliwe dni do ręki mojej tysiące rąk się ciągnie,
Na honorowym miejscu wiesza się mój portret,
Lecz kiedy tylko szczękną więziennych drzwi wrzeciądze
I o kamienną ścianę zmęczony plecy oprę,
Nikt nie przyjdzie odwiedzić, nikt rozmowy nie wszczyna.
No cóż... Tym lepiej może.
Będę tylko dłużnikiem twoim, moja jedyna.
Mocna ręka człowieka (w szczęściu ci o nią nie chodzi).
Więc, miła, jak ci się powodzi? 1946

Zazdrośnik

Zazdrosne są twe oczy;
mkną ptaki chyże,
czyż można im zazdrościć!

Wiatrem być — zgoda, Czyż mało?
Lecz chcieć się zamienić w wodę?
Aż tego ci się zachciało!

Wstrzymam się od zazdrości przeto,
wciąż pragnąłbyś stać się ziarnem,
nie dość ci, żeś poetą. 1947

22 września 1945

Czytam książkę:
ona jest o tobie.
Słucham pieśni:
znowu jest o tobie.
Siadam i jem swoją porcję:
ty siedzisz naprzeciw.
Pracuję:
znowu jesteś obok.
Zjawiasz się, gdy tylko zechcę,
nie możemy z sobą porozmawiać,
nie zamieniamy ani słowa.
Od ośmiu lat tyś moją wdową...

24 września 1945

Najlepsze jest morze —
po którymś jeszcze nie pływał.
Najlepsze jest dziecko,
które jeszcze nie urosło.
Najlepsze dni naszego życia —
to te jeszcze nie przeżyte.
I najpiękniejsze ze słów, które ci rzekłem,
to, które jeszcze powiem.

Spolszczył K. A. Jaworski

Nasz układ planetarny

(Ciąg dalszy ze str. 1)

27 łóżek — w wykorzystaniu ich pobito chyba rekord światowy: 353 noclegi rocznie w jednym łóżku! O groźnych problemach wodociągowo-kanalizacyjnych nie muszę tu mówić, są zbyt znane.

Rozwój miasta systematycznie prześcigał także jego planowanie. Pierwszy plan ogólny i perspektywiczny sporządzony został przez nowo powstałą Wojewódzką Pracownię Urbanistyczną w latach pięćdziesiątych. Zdeaktualizował się szybciej niż został zrobiony. Kolejny plan został zatwierdzony w roku 1960. Ale i jego żywot okazał się krótki. Nowy plan urbanistycznego rozwoju Chełma sporządzili l u b e l s c y urbaniści dwa lata temu.

Ale c h e ł m s c y urbaniści bynajmniej nie są z niego zadowoleni. Niepokoi ich zwłaszcza, w Chełmie szczególnie drastyczny, problem Centrum. Nie będę tu wchodził w szczegóły tego niepokoju. Ale trzeba w tym miejscu zapytać, czy owo „zdalne" — z Lublina — planowanie może dawać dobre efekty? Trzeba przecież znakomicie znać miasto, w oparciu nie tylko o papierową dokumentację i inwentaryzację. Trzeba też znać rytm jego życia, tradycje, atmosferę, trzeba — jak to się mówi — miasto „czuć". Z odległości osiemdziesięciu kilometrów czuje się niewiele.

Z drugiej strony — patrząc ze zbyt bliskiej odległości, widzi się drzewa, nie widzi się lasu. Z mniejszymi oporami też ulega się miejscowym „naciskom".

Połączenie walorów i wyzbycie się mankamentów obu punktów widzenia dałaby ścisła współpraca Wojewódzkiej Pracowni Urbanistycznej z miejscowymi zespołami. Jednak zawodzi ona. Często z braku dobrej woli, często też z braku urbanistów w wielu naszych miastach powiatowych.

Pod względem planowania urbanistycznego Zamość wygrałby zawody z Chełmem. Pierwszy to miasto, które podjęło próbę radykalnego rozwiązania tak nagminnego problemu śródmieścia. Bodźcem do tego stała się lokalizacja dużych zakładów chemicznych. Zlecono opracowanie projektów alternatywnych — urbanistom lubelskim i krakowskim — dzielnicy Nowe Miasto, która ma przejąć funkcję centrum usługowego, odciążając Zamość morandowski.

Ale to są wydarzenia „ostatniej chwili", w realizacji jeszcze niewidoczne i — trzeba wprost powiedzieć — mocno spóźnione.

Bo t e r a z — od strony urbanistycznej patrząc — nie ma chyba miasta bardziej denerwującego niż Zamość. Po środku — wspaniała harmonia dawnego Zamościa, rzeczywiście „perła", oprawiona jednak w chaos i bezsens tego, co zbudowano w ciągu ostatnich stu lat. Z czego niemałą część naszemu pokoleniu należy przypisać.

Ostatni plan ogólny zabudowy przestrzennej robiony był, jak mi tłumaczono, „metodą seminaryjną". Gdy mu się bliżej przyjrzałem, przetłumaczyłem to: na kolanie i od ręki. Przy tej robocie nie było Moranda. To, co rzekłem o urbanistyce — jeszcze bardziej dotyczy architektury, pożal się Boże, XX w. Ale pisałem o tym przy innej okazji i nie zamierzam znów się denerwować.

Na szczęście gotowy jest nowy plan ogólny, mamy piękne szczegółowe propozycje nowego śródmieścia. I jeśli nawet nie naprawimy tego, cośmy popsuli, to może przynajmniej nie będziemy psuć dalej.

Kariera planetki

Puławy miały być sobie średnim miastem powiatowym, ze szczególnym podkreśleniem funkcji naukowych, oświatowych i turystycznych. Wybuchły „Azoty". Mała planetka zaczęła rosnąć, może nawet słońce przyćmi, już teraz niektórzy powiadają, że Lublin koło Puław leży. Tu wzrost był najgwałtowniejszy, dość niespodziany w dodatku, dlatego też wszystkie konflikty urbanistyczne i choroby planowania objawiły się tak drastycznie. To cała epopeja „inwestycji towarzyszących", dramatycznych decyzji, odwołań, protestów. Nie zamierzam tu jej streszczać. Wybieram tylko dwa epizody, jak się wydaje, także na przyszłość pouczające.

Wśród naszych menagerów wielkiego przemysłu panowała — i jeszcze teraz daje znać o sobie — tendencja do odcinania się od tradycji kulturalnych, społecznych, urbanistycznych miast, do których wkraczają. Nie chodzi zresztą tylko o tradycje: istnieje tendencja do tworzenia jakby „technokratycznych gett".

Ma to określone skutki społeczne i urbanistyczne.

Budując osiedle dla pracowników cementowni w Rejowcu — całkowicie „abstrahowano" od istnienia starego Rejowca. Dało to smutne efekty dla obu Rejowców. Identycznie stało się w przypadku Kraśnika. Przy budowie osiedla fabrycznego dla bodaczowskich zakładów tłuszczowych „zapomniano" o niedalekim Szczebrzeszynie. W rezultacie wegetatywne raczej życie prowadzi i osiedle i miasteczko.

Częściowy tylko kompromis udało się uzyskać w Chełmie. Fabryczne osiedle nie uciekło z miasta, ale się od niego odgrodziło.

I właściwie pierwsze zwycięstwo, bezkrwawe ale niełatwe, odnieśli urbaniści w Puławach. Gdyby zgodzono się na sugestie inwestorów — powstałyby drugie Puławy. Inne, osobne; oba miasta — kalekie. Jak kalekie są oba Kraśniki.

Ale nowe miasto zaczęło się rozrastać na tkankach starego, organizmu już, mówiąc szczerze, nieco sklerotycznego, jednakże — nie tylko ze względu na starczą dostojność — godnego szacunku. Ten zastrzyk świeżej krwi, albo — sięgając po metaforę do bardziej nowoczesnej medycyny — (a co z astronomią?) — przeszczep nie dokonał się bezkonfliktowo. Wystarczy przypomnieć głośny spór o „Działki" czy o ulicę Głęboką. Ale, jeśli pominiemy interesy raczej partykularne, w perspektywie możemy zobaczyć Puławy jako miasto — od strony społecznej biorąc — j e d n o i to miasto nowoczesne.

Jednakże pod względem architektonicznym można mieć poważne wątpliwości. Fatalnie tu zaciążył okres wielkiego startu Puław, okres, kiedy to akurat postanowiliśmy robić w budownictwie „oszczędności za wszelką cenę". Stąd „koszarowość" nowych osiedli, szarzyzna, całkowity brak małej architektury. Chyba pod presją tego „oszczędzania" projektant nowego puławskiego hotelu zaplanował pokoje tak małe, że nie można byłoby zmieścić łóżek ani tapczana.

Skoro już jesteśmy przy hotelu przenieśmy się do problemu puławskiego Centrum. Pierwsze wrażenie — to wrażenie chaosu. Stara zabudowa splata się z nową. Ta nowa zaś co najmniej niepokoi: tu jakaś rotunda, nędzniutkie echo tej z Centrum Warszawy, tu zaś gospoda, wierna kopia tej z... Garbowa. Pierwsze wrażenie może być mylące. Może to tylko fragmenty harmonijnej całości, której domyśleć się jeszcze nie sposób, ale której kształt żyje już w wyobraźni urbanistów, na planszach i makietach? Ale nic takiego do niedawna nie było, choć koncepcji nie brakowało. Zmieniały się, były odrzucane, poprawiane, znów odrzucane — i program zabudowy nie mógł dotrzeć do etapu szczegółowej dokumentacji, ujmującej całość. A jednocześnie przecież budowano. Siłą rzeczy — „na oko". No i teraz nie da się już tego odrobić. Centrum przyszłych stutysięcznych Puław będzie małomiasteczkowe.

→

Helikoptery ze Świdnika

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Aby więc uzyskać prędkość, a zarazem pokonać ciężar maszyny, wynaleziono tzw. tarczę sterującą. Przy jej właśnie pomocy wytwarzaną przez łopaty wirnika (mówiąc językiem profana: bardzo wydłużone trzy jednoramienne śmigła) siłę ciągu możemy pochylać w dowolnym kierunku. Pochylenie do przodu oznacza lot do przodu, pochylenie do tyłu — lot do tyłu itd.

Łopaty wirnika obracając się w kierunku wskazówek zegara, stwarzają moment, który usiłuje obracać śmigłowiec wokół osi wirnika w przeciwnym kierunku. Normalną reakcją maszyny byłoby kręcenie się w miejscu w odwrotnym kierunku. Zapobiega temu właśnie owe śmigło ogonowe wytwarzające moment przeciwny do momentu wirnika. Zarówno kąt ustawienia łopat głównych jak i mniejszych ogonowych jest zmienny. Zastosowanie tych wszystkich subtelności — i tysiąca innych — to rzecz konstruktorów, ich wyzyskanie w czasie lotu — to właśnie pilotaż.

Helikoptery narodziły się przed wojną, ale ich stosowanie na coraz szerszą skalę następuje dopiero w ostatnich kilkunastu latach. W 1946 r. we wszystkich krajach kapitalistycznych latało zaledwie ok. 200 takich maszyn, według danych za rok 1963 już ok. 13 000, na rok 1975 przewiduje się 18—20 tys. Roczny przyrost ocenia się na 7—8 proc., chociaż „z okazji" wojny, koreańskiej czy wietnamskiej, wzrost dochodzi do 20 proc.

W skali międzynarodowej helikoptery dzieli się na trzy zasadnicze grupy: 1) lekkie — zabierające do 5 osób, 2) średnie od 6 do 14 osób, 3) ciężkie — powyżej 14 osób. Pierwsze stanowią połowę światowej produkcji, drugie ok. 30 proc., ciężkie ok. 20 proc.

Pierwsze helikoptery zaczęto budować w Świdniku w 1956 r. Oczywiście, nie mieliśmy w ogóle specjalistów od konstrukcji, gdyż produkcja taka przed wojną u nas nie istniała. Przedsięwzięcie było niezwykle śmiałe także i dlatego, że produkcja wymaga wysoko kwalifikowanej kadry, najlepszych materiałów, nowoczesnych maszyn, no i niezwykłej dokładności w pracy. Na podstawie radzieckiej dokumentacji licencyjnej podjęto wyrób śmigłowców oznaczanych symbolem SM-1W lub krócej Mi-1. Było to możliwe tylko dzięki wszechstronnej pomocy technicznej i materiałowej konstruktorów radzieckich, którzy nie tylko czuwali nad produkcją bieżącą, ale pomagali w szkoleniu własnej kadry konstruktorów, technologów i innych fachowców. Mi-1 były już w ZSRR sprawdzone w produkcji seryjnej.

Ale postęp w przemyśle lotniczym jest bardzo szybki. W roku ub. na Targach Poznańskich powszechną sensację wzbudził nowy model śmigłowca zbudowanego w Świdniku — Mi-2. Tym razem od radzieckich przyjaciół otrzymaliśmy dokumentację prototypową, nie wypróbowaną jeszcze w samym ZSRR. Głównym konstruktorem jest prof. dr M. L. Mil, natomiast silniki turbinowe konstruował dr Izotow. Uruchomienie produkcji seryjnej to już dzieło polskich inżynierów i robotników. Do tej konstrukcji wprowadzono w praktyce kilka zmian — np. wersję dwusteru, co znacznie ułatwia szkolenie pilotów, którzy mogą być dzięki temu natychmiast korygowani przez instruktora. W oparciu o doświadczenia własne oraz użytkowników fabryka stale ulepsza różne parametry tej znakomitej już maszyny o jednym z najwyższych standardów światowych.

Do poszczególnych wersji wprowadza się także większe modyfikacje — z perspektywą ich generalnego i jeszcze pełniejszego zastosowania w następnym modelu.

Jak wielka jest różnica pomiędzy obu modelami, świadczy następująca tabelka:

	Mi-1	Mi-2
ciężar własny kg	1900	2300
ciężar użyteczny kg	600	1400
pasażerów	3	8
załogi	1	1
prędkość maks. km/godz.	170	220
moc startowa KM	575	800

Dodajmy, że Mi-2 w ciągu 26 min. osiąga pułap 4000 m, na wysokość 1000 m wznosi się w ciągu 5,5 minut, a to dzięki dużej mocy dwóch silników. Wszystkie manewry może wykonywać także wtedy, gdy działa tylko jeden silnik. Z całkowitym bezpieczeństwem ląduje na pochyłości do 30 stopni. Długość maszyny (bez łopat) wynosi 12 m, wysokość (nie licząc śmigła ogonowego) — 3,75 m. Normalnie zabiera 600 kg paliwa, ale przy zastosowaniu zbiorników dodatkowych — 1000 kg, co pozwala na przelot do 600 km. Posiada urządzenie do lotów nocnych. Może nie tylko latać dosłownie we wszystkie strony, ale i nieruchomo zawisać w powietrzu na wiele minut. Dzięki pionowemu startowaniu lub lądowaniu wystarczy mu placyk o powierzchni nawet 400 czy 500 m kwadr. Osiada na ziemi niezwykle łagodnie, „jak kura na jajkach" — dosadnie określają moi rozmówcy.

W Świdniku produkuje się cztery wersje Mi-2: pasażerską, transportowo-dźwigową, rolniczą i sanitarną. Śmigłowce są również użytkowane przez naszej wojska lotnicze.

Komunikacji pasażerskiej helikopterami w Polsce jeszcze nie uruchomiliśmy, ale to chyba sprawa niezbyt dalekiej przyszłości, chociaż eksploatacja będzie stosunkowo droga. W egzemplarzach produkowanych na eksport urządzenie wewnętrzne jest niemal luksusowe: miękkie fotele, dywany. Każdy z 8 pasażerów może jeszcze zabrać bagaż podręczny. Bardzo duże oszklenie kabiny umożliwia swobodne oglądanie ziemi.

Helikopter transportowo-dźwigowy pomieści we wnętrzu ciężar wagi do 700 kg. Szerokie drzwi umożliwiają bardzo szybki za- i wyładunek. Taki sam ciężar — jeżeli wymiary są większe od samej maszyny — może być zaczepiony na zewnątrz. Zaczep jest sterowany elektrycznie przez pilota. Na zewnątrz kabiny znajduje się jeszcze ruchomy dźwig, który za pomocą linki stalowej długości ok. 30 m może podnieść 120 kg. To umożliwia stosowanie maszyny np. do transportu materiałów budowlanych w trudno dostępne miejsca, a także np. ładunków na statki.

Mi-2 w wersji rolniczej służy do szybkiego i dokładnego nawożenia pól nawozami sztucznymi bądź spryskiwania pól albo lasów środkami chemicznymi do zwalczania szkodników. Po zamontowaniu dodatkowych zbiorników po obu stronach kadłuba zabiera on 700 kg (lub 700 l) chemikaliów. Chemikalia w proszku są rozpylane przez wentylatory (z regulacją zależnie od rodzaju proszku lub ilości na ha), a z płynnych powstają krople o średnicy od 200 mikronów. Zapotrzebowanie na ten rodzaj maszyn szybko wzrasta, gdyż ich użycie tutaj okazuje się i ekonomiczne, i skuteczne. Praktycznie lot do opróżnienia zbiorników trwa 10 minut.

W nagłych wypadkach lub w ciężkich zachorowaniach szybkie udzielenie pomocy lekarskiej oznacza często uratowanie życia. Dotarcie do chorego w górach, lasach czy w czasie katastrof żywiołowych umożliwia tylko heliktoper. Nasz helikopter poza pilotem i lekarzem może zabrać 4 chorych, dając każdemu z nich bardzo wygodne warunki, a lekarzowi możność stosowania zabiegów w czasie lotu. Jest, oczywiście, apteczka podręczna.

Po tych cierpliwie prowadzonych wtajemniczeniach pytam, jak na laika przystało:

— Gdy patrzy się z ziemi na lecący śmigłowiec, odnosi się wrażenie, jak by kiwał się on na wszystkie strony. Pilot pewnie się już do tego przyzwyczaił. Dla pasażerów musi to być jednak bardzo nieprzyjemne uczucie, chyba początek choroby powietrznej, czyli morskiej...

— Złudzenie, redaktorze — zapewniają gwałtownie inżynierowie. — Zależnie od zmiany kierunku lotu zmienia się położenie wirnika i stąd powstaje złudzenie. Nasze

Wersja pasażerska Mi-2

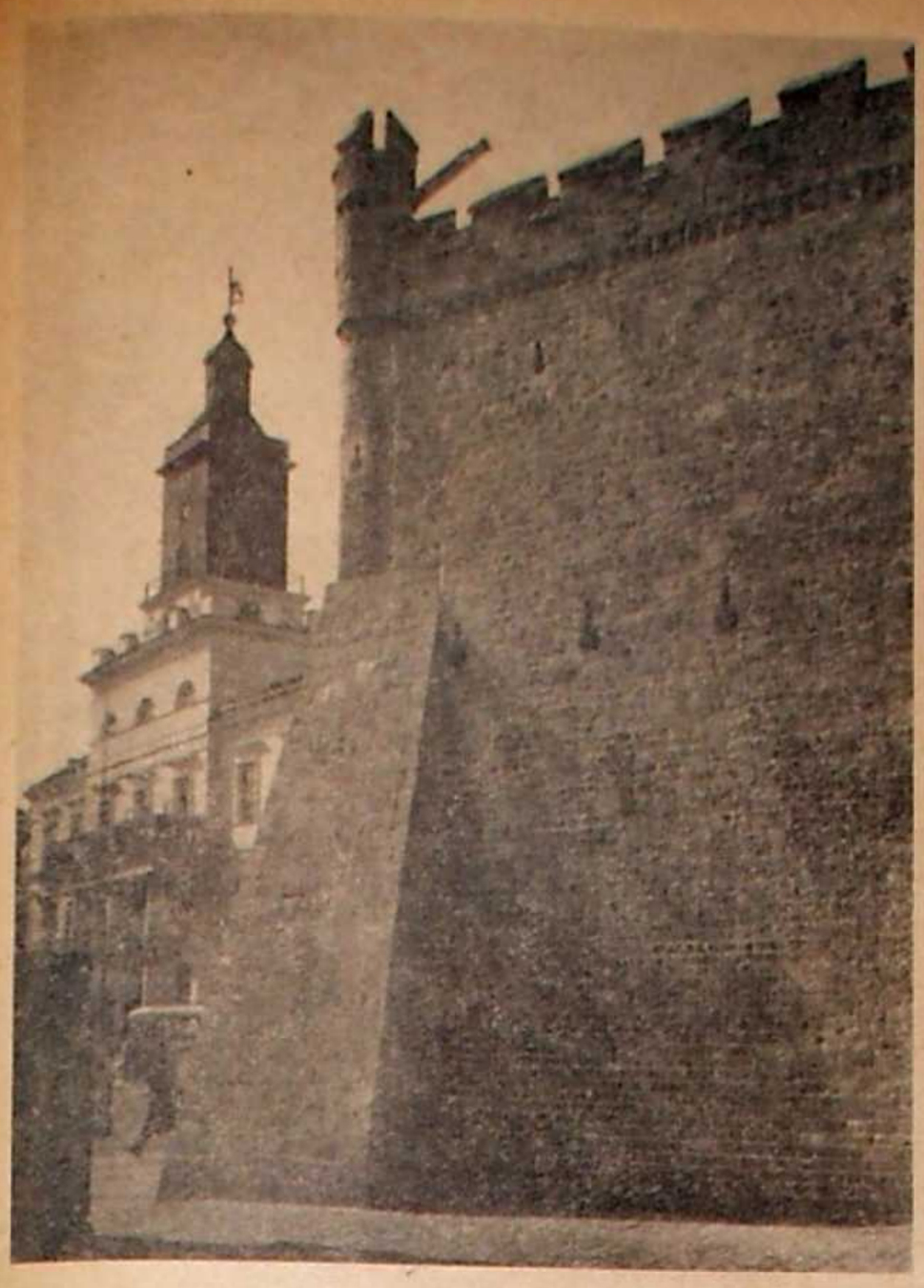

Brama Krakowska i Ratusz w Lublinie

Fot. J. Urban

Powtarzamy błędy, gdzie indziej wielekroć popełnione. Obyśmy u siebie przynajmniej znów ich nie popełniali. W miastach, które przecież też nam mogą „wybuchnąć".

Harmonia sfer

Miały być jeszcze rozdziały: „Podwójna planeta" — o dwóch Kraśnikach, które powinny stanowić jedno miasto, a nie chcą. „Biała Planeta" — o sympatycznej Białej Podlaskiej, która wiele problemów własnymi siłami próbuje rozwiązać. „Planetki i planetoidy" — o innych mniejszych miastach powiatowych, które są za małe, by swoją rolę właściwie odgrywać. I o sieci „ośrodków ponadgromadzkich", które naszą pustynię urbanistyczną mają użyźniać. Osobno o miasteczkach tak „szczególnych", jak Kazimierz, Nałęczów czy Terespol.

Ale nie starcza już miejsca, a i ochoty brakuje.

Bo główny problem tkwi jednak nie w szczegółach, lecz w osiągnięciu ogólnej „harmonii sfer". Brzmi to prawie mistycznie? Posłużmy się więc zdaniem z referatu: warunkiem generalnym prawidłowego rozwoju miast jest bardziej precyzyjne i długofalowe planowanie gospodarcze.

Można się pocieszać, iż robimy w tej dziedzinie wyraźne postępy. Do ideału jednak — daleko. Mamy więc pociechę drugą — chaos naszych miast też posiada swój wdzięk...

Janusz Danielak

Tarnobrzeg awansował a co z Dzikowem?

(Dokończenie ze str. 3)

kim lebiegą, jak by się wydawało. Znowu odwiedził pokój Siemieńskiego.

— W najbliższym czasie pan hrabia urządza polowanie. Czy weźmie pan w nim udział?

Siemieński zdumiał się i tym razem.

— Nie wiedziałem, że tutaj są polowania!

Odtąd zaginął wszelki zwierz w okolicznych lasach. Siemieński z pasją dobrał się do skóry zwierzynie łownej. Stał się duszą towarzystwa myśliwskiego. Nieraz urządzał im kawały, od których zarykiwali się okoliczni ziemianie.

Trzeba przyznać, że Tarnowscy byli lubiani w okolicy, zarówno przez okoliczne ziemiaństwo, jak też przez mieszczan (o których wcale nie dbali) oraz chłopów. W dobrach dzikowskich ucisk pańszczyźniany był znacznie mniejszy niż gdzie indziej, karbowi hrabiego traktowali chłopów w miarę przyzwoicie, często w sporach funkcjonariuszy majątku z wieśniakami Tarnowscy brali stronę tych ostatnich. W tej paternalistycznej atmosferze wyrastał Stanisław Tarnowski, późniejszy profesor i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz prezes Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie.

W krakowskim „Przeglądzie Powszechnym" Tarnowski zamieścił słynny artykuł pt. „Proporcje". Oskarżał w nim warstwę, której był nieodrodnym przedstawicielem o... wyzysk ludu. Był to szok dla publiczności: płomiennym oskarżycielem okazał się bowiem arystokrata, z rodowodem sięgającym czasów Unii Lubelskiej, i współdziedzic ogromnego majątku. Nie wiadomo, jakie pobudki kierowały autorem artykułu, w każdym razie nie wyczucie koniunktury. Masa szlachecka po pierwszym zaskoczeniu zastakowała trybuna. Wskutek tej nieprzyjaznej postawy Tarnowski złożył poselski mandat, który piastował w galicyjskim Sejmie Stanowym.

Oczywiście awantura rozeszła się później po kościach, przebaczono Tarnowskiemu ten „wybryk". Niemniej rzuca on dość nieoczekiwane światło na późniejszego egzegetę „Nieboskiej Komedii".

Jako pisarz i historyk literatury dał się poznać Tarnowski z dobrej i złej strony. Na pewno nie można odmówić mu talentu literackiego. Odziedziczył go po przodkach. Jan Feliks Tarnowski, członek Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, tłumaczył poezje z języka niemieckiego i pisał studium o literaturze polskiej doby Renesansu i Baroku. Matka Stanisława była autorka reportaży podróżniczych z Francji i Italii (poza tym zajmowała się malarstwem). Stryjeczny brat Władysław, uczeń Liszta, był kompozytorem i pianistą, a oprócz tego pisał poczytne reportaże z Grecji, Italii i Hiszpanii, które nader pozytywnie ocenił nie byle kto, bo sam Józef Ignacy Kraszewski, ówczesny redaktor wychodzącego w Dreźnie pisma „Tydzień". Inny kuzyn Stanisława, też Władysław, pisywał popularne romanse w języku niemieckim. A dziadek Tarnowskiego, generał wojsk Księstwa Warszawskiego, Małachowski, który pisywał wiersze i zostawił pamiętnik? A wspomniany już wuj Tadeusz Czacki?

Tarnowski niewątpliwie znał się na literaturze, o czym świadcza jego studia o Fredrze, Słowackim i Krasińskim, a także o polskiej literaturze politycznej z XVI wieku (Orzechowski, Skarga, itd.). Niemniej wiele można mu też zarzucić. Był konserwatystą i ugodowcem. Tadeusz Boy-Żeleński uważał go wręcz za ramola i nieraz w swoich felietonach pastwił się nad nim bez litości. Jego niepopularność wśród szerokich rzesz zwiększało pochodzenie społeczne i stanowisko, a także sposób bycia. Pisał o tym w pamiętnikach Kazimierz Chłędowski:

Gdym po raz pierwszy zetknął się z Tarnowskim, zdawał on mi się trochę sztywnym, trochę chłodnym, trochę może nienaturalnym i takie wrażenie robił na razie na wszystkich, którzy go dopiero poznali, albo którzy go dawno nie widzieli. Zewnętrzne wrażenie, jakie się wynosiło, widząc go tylko na ulicy albo w towarzystwie, wrażenie nadzwyczaj sympatyczne, cokolwiek się osłabiało i każdy mówił do siebie: „Ależ Tarnowskiego inaczej sobie wystawiałem przy bliższym poznaniu, jakiegoś szerszego, serdeczniejszego, a tymczasem ten człowiek mówi jak na katedrze lub trybunie i chodzi zawsze na koturnie". Mówiono powszechnie: „Tarnowski nieśmiały, nieśmiałość jest powodem tego wrażenia chłodu i przesady, jakie powstaje po pierwszych z nim spotkaniach". Nie nieśmiałość to, ale usposobienie trochę dumne, mimowolna troska może, aby się źle nie przedstawić, zbytnia uwaga na każdy swój ruch, na każde swoje słowo... W kole dobrych znajomych przy bliższym poznaniu się Tarnowski miał się rozkrochmalać, miał się stawać cieplejszym, naturalniejszym, ja go wszakże nigdy takim nie widziałem i mam wrażenie, że Tarnowski w nocnej nawet koszuli był pełnym pozy i godności...

Ale oto napotykamy zupełnie inną relację. Ferdynand Kuraś, najwybitniejszy polski poeta ludowy, wspomina w swoim pamiętniku pt. „Przez ciernie żywota", w jaki sposób zawarł znajomość z utytułowanym i rzekomo nieprzystępnym prezesem PAU.

Kuraś był ubogim wyrobnikiem z Wielowsi, leżącej w pobliżu Dzikowa. Miał ukończone jedynie trzy klasy szkoły ludowej, czytał jednak bardzo dużo, przez co stał się pośmiewiskiem wioskowych gospodarzy, którzy wskazując ręką na leżące u niego na stole książki, mówili: *to wszystko razem nie warte nawet miski żuru*. Proboszcz posądzał Kurasia o rozrzutność, poeta wolał bowiem wyrzec się obiadu a kupić książkę, o czym ksiądz nie wiedział, lecz widząc zalegające kredens książki, patrzał na niego z podejrzliwością. Mimo wszystko Kuraś nie miał pieniędzy na książki. Po pewnym więc namyśle napisał list do Tarnowskiego z prośbą o ich przysłanie, tłumacząc się swoją ciężką sytuacją i ogromną namiętnością do słowa drukowanego. Długo czekał na odpowiedź, już zwątpił w nadejście, gdy nagle otrzymuje z Krakowa przesyłkę, otwiera: stos książek! I bardzo uprzejmy list.

Kontakty te nie urwały się. Jeszcze kilkakrotnie Kuraś otrzymywał przesyłki z książkami, a gdy poprosił o umożliwienie mu zwiedzenia Krakowa, został uprzejmie przyjęty w pałacu na Szlaku.

Nieraz sugerujemy się jednostronnymi opiniami. Stanisław Tarnowski pozostał w naszej pamięci zramolałym starcem o wspaniałej brodzie, dla której tylko trzymano go na rektorskim stolcu i który nie zrozumiał — wskutek konserwatywnych uprzedzeń — geniuszu Wyspiańskiego. Ale jak napisał w swoich wspomnieniach Kazimierz Chłędowski:

To wszystko jednak, powtarzam, nie uwłaczało jego szlachetnej i zacnej naturze...

* * *

Tarnobrzeg rozwija się. Rosną nowe bloki mieszkaniowe, otwiera się dobrze zaopatrzone sklepy, przeprowadza kanalizację. Wybudowano nowoczesny stadion sportowy i basen pływacki. A przecież jeszcze nie tak dawno przybywający do miasta reporterzy opisywali sunący po ulicach beczkowóz jako jedyny sposób dostarczania wody do mieszkań, walące się parterowe zrujnowane domy i kino — curiosum, które miało zmurszały strop, a widrowie siedzieli w czasie mrozów w kożuchach, ponieważ zimno tam było jak w psiarni.

Przed wojną mieszkało w Tarnobrzegu 3,5 tysiąca ludzi. Powiat był biedny i wskutek tego zradykalizowany społecznie, czego dowodem choćby powstanie słynnej Republiki Tarnobrzeskiej, zlikwidowanej przez władze policyjne. W czasie ostatniej wojny ludność żydowska nie uniknęła losu swych ziomków z innych polskich miast.

W 1953 r. w okolicach Tarnobrzegu zostały odkryte pokłady siarki. Rozpoczęto budowę kombinatu siarkowego w Piasecznie i Machowie. Pierwszy wytop siarki nastąpił w 1960 roku.

Sytuacja w Tarnobrzegu zmieniła się na lepsze. Któż przypuszczał, że to zacofane, tonące w błocie galicyjskie miasteczko zrobi taką karierę! Teraz w kombinacie pracują ludzie dojeżdżający z 275 miejscowości powiatu. Pracują także w kombinacie ludzie z sąsiednich powiatów.

Jeszcze raz sięgnijmy okiem wstecz. Wojciech Wiącek, włościanin z Machowa, zdumiałby się widząc na swym polu zabudowania kombinatu. Przecież to on wraz z Janem Słomką i innymi działaczami społecznymi walczył o gospodarczą aktywizację powiatu! Bynajmniej nie leżała ona w interesie zarówno władz zaborczych (Tarnobrzeg położony był tuż nad kordonem), ani w interesie właścicieli wielkiej własności ziemskiej. Szlachta dbała tylko o to, aby na tarnobrzeskiej wsi było jak najwięcej karczem, z których czerpała dodatkowe dochody. Nie obchodziło jej także wódka przynosiła nieodwracalne szkody społeczne i moralne. Nawet Tarnowscy, którzy stanowili dla miejscowych ziemian wzór do naśladowania, mimo swego życzliwego stosunku do włościan, nie przeciwstawiali się niczym rozszerzaniu się ekstrawagancji żydowskich karczem. Chłopi, pozostawieni samym sobie, wyemigrowali przywódców z własnych szeregów. Wojciech Wiącek organizował czytelnie ludowe, kółka rolnicze, ochotniczą straż pożarną, spółdzielnie handlowe i inne instytucje użyteczności publicznej. Tak samo Jan Słomka. Obaj chłopi ukończyli tylko trzy klasy szkółki ludowej, byli jednak samoukami i wyrośli na rozumnych ludzi.

Dzieje tarnobrzeskiego powiatu są bardzo ciekawe. To istna kraina historycznych pamiątek. Tutaj właśnie król Kazimierz Wielki w pogoni za jeleniem spadł z konia i złamał nogę, co przyspieszyło jego zgon. W te okolice uciekł Zygmunt Stary przed zarazą panującą w Krakowie. Najeżdżali na ziemię tarnobrzeską Tatarzy, tutaj w widłach Wisły i Sanu toczyły się walki ze Szwedami, tak sugestywnie opisane w „Potopie", tutaj zawiązała się Konfederacja Dzikowska w obronie prawowitego monarchy, Stanisława Leszczyńskiego. Tu wreszcie na polach koło Wrzaw, które widać z okien zamku dzikowskiego, rozegrała się w 1809 r. bitwa wojsk polskich z armią austriacką.

Na ziemi tarnobrzeskiej tworzyli znakomici pisarze ludowi: Wincenty Motas z Grębowa, Wojciech Wiącek z Machowa, Ferdynand Kuraś z Wielowsi i Jan Słomka z Dzikowa. Tutaj urodził się 170 lat temu bajkopisarz Stanisław Jachowicz. W najnowszych dziejach reprezentują te strony w literaturze polskiej (pomijając już, oczywiście, Stanisława Tarnowskiego) niedawno zmarli Stanisław Piętak z Wielowsi i Jan Wiktor z Radomyśla nad Sanem.

Z Wrzaw pochodzi Julian Kawalec.

Te bogate tradycje historyczne i literackie warte są jakiegś uwieńczenia, nie powinny przecież przepaść w mrokach przeszłości. W Dzikowie stoi piękny zamek. Mieści się w nim obecnie Technikum Rolnicze. Nie sądzę, żeby to było najlepsze miejsce dla uczącej się młodzieży. Oglądałem ten zamek wewnątrz: ciemne, ponure korytarze sprawiają wrażenie jakiejś raubritterskiej rezydencji, a nie wygodnej i przestronnej szkoły. Ale owe grube mury mogą służyć znakomicie jako pomieszczenie dla cennych eksponatów...

Słowem: warto założyć jak najprędzej Muzeum Ziemi Tarnobrzeskiej. Są regiony o daleko uboższej historii, a mają takie muzea, dlaczego piękna Ziemia Tarnobrzeska ma być gorsza?

Kiedyś w zamku znajdowały się wspaniałe zbiory. Zrobiono regionowi wielką krzywdę, pozbawiając go tak cennych dóbr kulturalnych. Ale krzywdę można naprawić. Można wskrzesić dobre tradycje biblioteki dzikowskiej. Przecież stać na to region, zasobny w siarkę. Kombinat przeznacza znaczne kwoty na restaurację pałacu w Baranowie. To dobry pomysł. Ale czy nie warto również zająć się zamkiem w Dzikowie? Na pewno się opłaci. Doświadczenia z budowy podobnych ośrodków gospodarczych dowiodły, że nieodzownym warunkiem prawidłowego funkcjonowania przemysłu jest równomierny rozwój dóbr kulturalnych. Ale nie wystarczą kina, stadiony i baseny. Potrzebny jest także ośrodek naukowy. A więc propozycja: niech obok kombinatów w Piasecznie i Machowie powstanie jeszcze trzeci kombinat w Dzikowie: kombinat kulturalny.

Ryszard Dzieszyński

śmigłowce są bardzo stateczne, naprawdę nie kołyszą się.

— No dobrze — pytam dalej — tyle dobrych rzeczy mówiliśmy o parametrach naszego Mi-2. Ale jak to wygląda w porównaniu ze standardem światowym?

— To nie żadna przechwałka: Mi-2 stanowi jeżeli nie rewelacyjny to olbrzymi postęp w dziedzinie konstrukcji i technologii tego rodzaju sprzętu. Zróbmy kilka porównań z produkowanym obecnie we Francji śmigłowcem „Alouette III". Posiada on moc startową silnika (jednego) o 10 proc. wyższą od łącznej mocy naszych silników (dwóch — więc większe bezpieczeństwo). Szybkość maksymalna „Alouette III" jest o 10 km/godz. mniejsza, zabiera on nie 8, ale tylko 6 pasażerów, ciężar użyteczny jest o 400 kg mniejszy. A śmigłowce „Bell", „UH-ID" czy „Iriquosis" zabierają wprawdzie po 10 pasażerów, ale moc startowa silników jest aż o 40 proc. większa, a szybkość — o 2 km/godz, czyli praktycznie to samo. Aha — nasze Mi-2 mają jeszcze elektryczną instalację, która zabezpiecza przed oblodzeniem łopaty wirnika nośnego i śmigła ogonowego. Elektryczny sygnalizator alarmuje pilota, gdy tylko takie oblodzenie zaczyna występować.

Napchany informacjami wędruję z inżynierami do jednej z hal produkcyjnych. Po drodze z przyjemnością patrzę, jak wszędzie pełno pielęgnowanej zieleni, różnokolorowych kwiatów.

Wchodzimy do niskiego budynku z czerwonej cegły. Tu mieści się wydział obróbki plastycznej na zimno — to ten, który w 1964 r. pierwszy w przemyśle metalowym na Lubelszczyźnie zdobył zaszczytny tytuł Wydziału Pracy Socjalistycznej. Na prawo — najpierw kilka pokoików biurowych, potem kiosk (czynny), wreszcie duża, jasna hala. Mniejsza o młoty, prasy, wykrojniki — interesują mnie przede wszystkim ludzie. Najpierw spora grupka uczniów z zawodowej szkoły przyzakładowej. Jeszcze przed wejściem do fabryki dyrektor tej szkoły, Hadrawa, na wyrost chwalił swoich uczniów — tu widać, że nie przesadzał. Jedni pracują szybko, inni patrząc na starszych kolegów uczą się, co i jak należy robić.

Wszędzie pełno przedziwnie powyginanych blach z duraluminium. Niektóre wyglądają niczym abstrakcyjne rzeźby. To elementy przyszłego kadłuba helikoptera. Jedne nabierają swoich kształtów przy użyciu maszyny, inne są wykonywane ręcznie, jeszcze inne poprawiane przez ludzi po wyjściu z maszyny.

Właśnie jakiś młody, szczupły blondyn stoi przy dziwnym klocu drzewa i gumową paletą poklepuje energicznie blachę, wyciętą w dziwny kształt, a równocześnie wygiętą w różne strony. Kloc jest zrobiony z bardzo twardego drzewa, klejony i czymś tam przesycony — w rezultacie twardy jak stal, ale zarazem plastyczny. Szef wydziału, inż. Lucjan Sznajder, nazywa to lignopolem, a blondyn mówi po prostu: bałwanek.

— Robota nie jest trudna, ale wymaga cholernej cierpliwości. Aby uzyskać odpowiedni profil wgłębień, zrobiłem sobie taki ząb z tego drzewa i bardzo mi to pomaga w pracy — wyjaśnia blondyn, czyli Stanisław Wojtan. Ma 30 lat, a już 15 pracuje w WSK. Pochodzi z Janowa, a szkołę zawodową ukończył w pobliskim Zaklikowie. Jest odpowiedzialny za współzawodnictwo pracy w brygadzie im. Janka Krasickiego, która już od 1959 r. jest Brygadą Pracy Socjalistycznej. Siedemnastu kolegom przewodzi czynny działacz ZMS, Jan Harasim. Ma zaledwie 27 lat, a brygadzistą jest już od 6 lat. To oni byli inicjatorami głośnego czynu młodzieżowego na 20-lecie PRL, teraz postawili sobie zadanie wykonania produkcji dodatkowej wartości 200 tys. zł, z czego 70 tys. już wykonali; ponadto przepracują 800 godzin przy budowie stadionu i ośrodka wypoczynkowego.

— Kończyliśmy w 1957 r. szkołę zawodową w Szczebrzeszynie, było nas 20. Przyjechała wtedy ekipa z WSK proponując nam pracę. Trochę nas ciągnęło do większej miejscowości, cieszyła propozycja z dużej fabryki, ale zadecydowało chyba to, że mieliśmy pracować przy helikopterach. Każdy młody zawsze w jakiś tam sposób marzy o lataniu, a przynajmniej o kręceniu się wokół maszyn latających. No i przyszliśmy prawie wszyscy, na tym wydziale oprócz mnie są do dzisiaj Mielniczek, Lisiecki, Olech...

Przy jakiejś maszynie, na której się nie znam, uwija się młodziutka blondyneczka w granatowym fartuszku. Okazuje się, że to również brygadzista — Halina Paczek.

Wychodząc raz jeszcze rzucam okiem na halę, po której uwija się niemal sama młodzież. Prawie wszyscy pochodzą z małych wiosek, ukończyli szkoły zawodowe w województwie, teraz są już doskonałymi fachowcami produkującymi sprzęt, który się liczy na rynku międzynarodowym. Zarabiają po 3, nieraz i 4 tys. zł miesięcznie. Bo dobry fach więcej niż tynfa wart — powiadają niektórzy. I słusznie. Chodzi tylko o to, aby nauką i pracą ten fach zdobywać.

Dyrektor Kodłubaj dorzuca do tego takie uwagi:

— Nasi użytkownicy, zwłaszcza rolnictwo, zgłaszają nam coraz wyższe wymagania. Więc wciąż coś ulepszamy. Zgodnie z ogólną tendencją światową utrzymujemy produkcję śmigłowców średnich, najbardziej u nas potrzebnych. Przemysł lotniczy wymaga bardzo wysokiej jakości wyrobu. Nie tylko od nas, ale i od naszych kooperantów, od wytwórców surowców. Chodzi tu przede wszystkim o przemysły metalowy, elektryczny i chemiczny. Nasze wysokie wymagania wpływają na ogólne polepszenie jakości w tych i innych przemysłach. Tak bez przesady to jesteśmy drożdżami postępu jakościowego. Mamy potwierdzenie tej opinii także w tym, że gdy ktoś od nas odchodzi, do przemysłu samochodowego czy stoczniowego, to z miejsca jest tam uważany za wybitnego fachowca. Myślę też, że nie bez znaczenia jest fakt, iż czwarta część załogi to członkowie partii, niemal drugie tyle to zetemesowcy.

Opuszczam fabrykę. Pomiędzy bramą wejściową a ścianą lasu na wysokim cokole metalowy odlew samolotu P-11 — jedna z oryginalnych konstrukcji urodzonego w Lublinie w 1901 r. inż. Zygmunta Puławskiego, patrona dzisiejszej WSK w Świdniku. Na owe czasy były to jedne z najlepszych samolotów na świecie. Tradycja, chociaż w innej postaci, przetrwała do dzisiaj. W Świdniku buduje się śmigłowce — czy jak kto woli z francuska helikoptery — również najwyższej klasy światowej.

Jerzy Dostatni

Kamena str. 5

moje LEKTURY

JAN Bolesław Ożóg należy do poetów o wyrobionej świadomości pisarskiej i zaświadcza to każdym nowym tomem. Zawdzięcza ją niemal całkowicie autentyzmowi, kierunkowi poetyckiemu stworzonemu przed wojną przez Stanisława Czernika. Stał się nawet Ożóg bardziej autentystyczny, zdaniem Czernika, od niego samego. Czy Ożóg byłby innym poetą, gdyby nie poddawał się wpływom autentyzmu czy przyjęte z góry założenia nie ograniczają twórczości? Na pewno tak, ale ograniczenie oznacza równocześnie wybór, odrzucenie rzeczy dla poety nieprzydatnych, dzięki czemu wyostrzają się inne cechy, zwykle o istotnym dla niego znaczeniu. Przy tym autentyzm przykładał największą wagę do tych wartości, które Ożóg posiadał z racji swego urodzenia i pochodzenia pod dostatkiem, mieli je też inni poeci związani z autentyzmem.

Myślę, że dzięki mocnemu osadzeniu w rzeczywistości, w realiach, w konkrecie, twórczość ich zachowała dużą odporność na wpływy czasu. Wczesna liryka Ożoga przekonuje o tym dowodnie. Jej konkretność, ostrość obrazowa i wierność pejzażowi wiejskiemu zachowały do dzisiaj świeżość i zdolność wzruszania. Kto wie, czy właśnie oparcie obrazowania na stałych elementach natury nie ułatwia utworowi dłuższego istnienia, niż tekstom zbyt dosłownie związanym z chwilą historyczną, z modą językową.

W poezji Ożoga od początku ujawniły się pewne wątki tematyczne i obsesje, które — niepokojąc wyobraźnię — domagały się coraz nowych wcieleń. Wynikają te obsesje z biografii autora, są następstwem jego rodowodu. Dla Ożoga „poetyckie" oznacza „wiejskie", poezja jest dla niego stałą cechą wsi, jej pejzażu. Z *kopca marchwi cię wołam, poezjo* — te zdania mogłyby stanowić motto wielu utworów Ożoga. Toteż związek bohatera lirycznego z miastem wprowadza zakłócenia, które powodują rozdwojenie wewnętrzne. Powstaje konflikt między „wiejskością" a „miejskim" bytowaniem. Dobro łączy się nadal ze wsią, a zło z miastem. Prawdziwą rzeczywistością jest ponadczasowa przyroda i ziemia, pod warunkiem, że człowiek pozostaje z nią w przymierzu i zgodzie. Oto programowa wypowiedź z wiersza „Wolność":

Nie wierzę nigdy w nic, nie wierzę w miasto,
nie wierzę w świętych, ani w piekło, wcale.
Ufam psom, ostom, łapom ich kolczastym —
i tych, co odpuszczają diablu, chwałę.

Niemniej świat, symbolicznie nazwany miastem, a obejmujący całość procesów cywilizacyjnych, rozrasta się, dynamizuje, atakuje wszystko to, co stanowi świat natury. Poeta widzi całą dramatyczność tego procesu, dostrzega wyraźnie, że skończy się to katastrofą dawnego świata. Utwory wyrażające owo widzenie rzeczy przynoszą obrazy bardzo przejmujące poetycko, o wielkiej naoczności, jak „To", jeden z najlepszych w ostatnim tomie Ożoga:

To — miasto żelazną koparką
chałupy ściga i konie,
i słupy telegraficzne
w żłoby im stawia w pokłonie.

Rozszerzanie się obrazów związanych z miastem coraz bardziej przekształca poezję Ożoga. Sielska łagodność wypierana jest przez brutalność, pojawiają się strofy niemal turpistyczne, jak w wierszu „Niebo":

Jadę i ciągnie dorożkę kobyła,
gdzie kwaśne ługi z pralek, próchno bruków,
tłuste pomyje z ścian wysokościowca
i wiatry ze szkła wiszące jak ryby.

Stan walki dwu widzeń świata, dwu postaw, przyczynia się do poważnych przemian w liryce Ożoga. Przekształca się język, zamiast ładu i harmonii coraz częściej pojawiają się dysonanse i zakłócenia rytmiczne. Modyfikują one nie tylko poetykę Ożoga, ale nasze o niej wyobrażenie.

Można sądzić, że w perspektywie poeta zdoła ustanowić równowagę między obu widzeniami i znajdzie formułę ich pojednania. Istnieje też możliwość, że katastroficzne widzenie weźmie górę, i że — parafrazując słowa poety — *kopą miasta zostanie przywalony dzień.* Wówczas na pewno pogłębi się ciemna tonacja, wzmoże się dramatyczność rozwiązań, a dawny świat, w którym poprzednio poezja Ożoga miała oparcie, stanie się rajem na zawsze utraconym. Ale i wtedy we wspomnieniu, w marzeniu poetyckim nabierze on nowych blasków.

Tadeusz Kłak

Jan Bolesław Ożóg: Mury. Kraków 1968. Wyd. Literackie

SANOK

Z cyklu: „Miasto na dłoni"

Turystyczny

OSTATNI raz byłem w Sanoku 14 lat temu i dziś jak przez mgłę tylko pamiętam atmosferę tego małego, sennego, galicyjskiego miasteczka, żyjącego trochę siłą rozpędu, a trochę dzięki „Sanwagowi", czyli Sanockiej Fabryce Wagonów. Na ulicach spacerowali statecznym krokiem jacyś staruszkowie. Mówiono wtedy, że Sanok jest miastem emerytów. I hasały gromady chłopców z tornistrami na plecach oraz starszej młodzieży — z teczkami. Mówiono, że Sanok jest też miastem szkolnym. Zresztą tak mówiono wtedy o niejednym mieście, bo wszyscy byli pod wrażeniem gwałtownego rozwoju szkolnictwa.

W dawnej gospodzie „Pod sztyletami" (która nosiła już wtedy inne, bardziej upolitycznione miano, co zresztą było bez znaczenia, gdyż i tak nazywano ją „Pod czterema cyckami") nalewano do szklanek wódkę. Pijany sierżant w skórzanym płaszczu powiedział głośno „zas...ne życie" i walnął pięścią w stół, aż pękł szklany blat. „To kosztuje 150 zł, panie sierżancie" — zwrócił mu uwagę kelner. „Trzysta" — wrzasnął sierżant, rzucił na stół trzy czerwone papierki, po czym w opisany wyżej sposób „załatwił" blat na drugim stoliku. Byłem zgorszony takim zachowaniem się wojskowego, lecz w oczach obecnych na sali nie widziałem dezaprobaty. Potem ktoś powiedział, że sierżant należy do grupy minerów, która przybyła rozminowywać okolice Sanoka. Sierżant przychodził co wieczór na kolację do tego lokalu, był zawsze zrównoważony, dziś jednak jego nieopanowanie jest zrozumiałe, bo rano jeden oficer i dwaj żołnierze zginęli od wybuchu niewypału. Był to rok 1954.

Jakże to odległe od nas, jeśli nie w czasie, to w charakterze! Dziś przez Sanok walą tłumy turystów, rozpływają się po okolicy, jadą w Bieszczady, nie ma ryzykownych tras, chyba, że ktoś wejdzie za wysoko i nie może zejść bez pomocy Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

Stoję teraz na ulicy Kościuszki, przywołuję pamięć i usiłuję zorientować się, gdzie jestem. Tu znajduje się park, więc tu gdzieś należy szukać gospody...

— Ach, chodzi panu o „cztery cycki"? — pyta mnie jakiś przechodzień. — Dawna historia, proszę pana. Teraz stoi na tym miejscu Spółdzielczy Dom Towarowy. No, kapuje już pan? Wiem, że jak kto nie był dawno, to trudno się rozeznać, bo ruder naprzeciw, co była w nich apteka Kawskiego, też nie ma. Jak rozbierali je, co tam było szczurów w piwnicach! Panie! Teraz postawili nowe bloki.

Jednakże w śródmieściu większość budynków jest starszej daty, toteż szybko przypominam sobie topografię miasta. Idzie mi to tym łatwiej, iż układ ulic choć nieregularny, jest logiczny i przejrzysty. O niektórych niewielkich miejscowościach mówi się, że każda ulica wychodzi na pole. O Sanoku można by powiedzieć, że każda ulica spada karkołomnie w dół. „Miasto leżące na wzgórzu i jego stokach otoczone jest pięknymi szerokimi dolinami, opasanymi z kolei przez zalesione wzgórza. Tuż pod wzgórzem, na którym rozsiadło się miasto, przepływa rzeka San. Sanok leży w większości na lewym brzegu rzeki" — wyczytałem w przewodniku.

Sanok dzisiejszy liczy ponad 23 tys. mieszkańców, a zatem znacznie więcej niż przed wojną (17 300). Powiat sanocki nie zabliźnił jednak całkowicie swoich ran wojennych, także i ubytku ludności; przed wojną miał 120 tys. mieszkańców, dziś tylko 80 tys. W gromadach Komańcza, Jaśliska i Szczawne są jeszcze miejsca po dawnych wsiach, w których obecnie nie żyje na stałe ani jeden człowiek. Ze 132 wsi przed wojną po wojnie zostało 80, dziś jest 102. Ziemia tu nie najlepsza, z upraw trudno się utrzymać, z hodowli można natomiast zupełnie nieźle, lecz poważna część ludności to osadnicy powojenni, którzy muszą spłacać należności za otrzymane gospodarstwa. Prócz ziemi na utrzymanie całej prawie sanockiej wsi dodatni wpływ ma świadczenie usług turystom.

Wróćmy jednak do Sanoka, który jest nie tylko stolicą powiatu, ale i szerszego regionu. 11 tys. osób pracuje w sanockich przedsiębiorstwach i instytucjach. Największym pracodawcą jest nie administracja, nie szkolnictwo, handel, czy usługi, lecz przemysł. Sanocka Fabryka Autobusów (dawny „Sanowag") zatrudnia łącznie z Wydziałem Przyczep około 5 tys. osób. Wytwarzają 2 700 autobusów rocznie, to już dużo, w przygotowaniu mają nowy model, ponoć ostatni krzyk mody i osiągnięć techniki: przyczepy eksportują do wszystkich krajów RWPG. 1 200 osób pracuje w Zakładach Gumowych. Istnieją tu też: przedsiębiorstwo budowlane, obejmujące działalnością 3 powiaty, Zakład Eksploatacji Gazu Ziemnego, Zakłady Mięsne, Zakłady Jajczarsko-Drobiarskie, Zakład Ceramiki Budowlanej i inne. W mieście jest 11 szkół średnich ogólnokształcących i zawodowych.

To wszystko mówi o randze miasta i ambicji jego mieszkańców. Sanok jest zresztą miastem starym, stolicą Ziemi Sanockiej, pierwsza pisana wiadomość o nim jako o grodzie warownym datowana jest w roku 1150. W roku 1339 książę ruski Jerzy II Trojdenowicz nadał mu lokację na prawie magdeburskim, potwierdzoną potem w roku 1366 przez Kazimierza Wielkiego. W dziejach tej ziemi i samego miasta nie brak i wpływów obcych, ruskich, węgierskich, słowackich, ba, nawet włoskich: herb miasta jest trzyczęściowy, przedstawia orła, św. Michała Archanioła walczącego ze smokiem oraz herb włoskiego rodu Sforzów, czyli węża w polu, dołączony do godła Sanoka na znak wdzięczności dla królowej Bony, która miasto otaczała szczególną opieką. A nad tarczą herbową jest jeszcze korona, świadcząca o tym, że w latach od 1340 do 1772 roku był Sanok wolnym, królewskim miastem.

Ślady tej przeszłości pozostały w budowlach, starym zamku z kamienia łamanego, wzniesionym w I połowie XVI wieku, XVII-wiecznym kościele franciszkanów, obiektach z XVIII wieku (m. in. ratusz i cerkiew) i wielu z XIX w. Czuli na punkcie swej przeszłości sanoczanie upamiętniali ją pomnikami i tablicami. Mamy więc na kościele parafialnym płytę z popiersiem Sobieskiego, wmurowaną w 250 rocznicę zwycięstwa pod Wiedniem i drugą płytę, wmurowaną w roku 1910, w 500-lecie bitwy pod Grunwaldem (dziwnym zbiegiem okoliczności hitlerowcy nie zniszczyli tej płyty), na dzwonnicy klasztornej znajduje się od roku 1569 płyta na cześć Unii Lubelskiej, w parku — tablica z popiersiem Chopina, wmurowana w setną rocznicę urodzin kompozytora, na Powiatowym Domu Kultury tablica umieszczona w setną rocznicę śmierci Mickiewicza, na budynku liceum żeńskiego przy ul. Mickiewicza tablica wmurowana w 410 rocznicę urodzin Kopernika, na domu przy ul. 6 Marca 2 tablica na pamiątkę „marszu głodnych" (6 III 1936) — był on wielką manifestacją sanockiego proletariatu, wreszcie na jednym z domów przy ul. Mickiewicza, w którym Świerczewski mieszkał w przeddzień swej śmierci, tablica ku czci generała. W parku jest głaz umieszczony w roku 1959, w setną rocznicę urodzin Mickiewicza, u stóp parku pomnik Mickiewicza, a obok PDK pomnik ku czci żołnierzy Wojsk Ochrony Pogranicza poległych w walkach z bandami UPA.

Znajomość przeszłości rodzinnej ziemi pogłębia „Rocznik Sanocki", redagowany przez Towarzystwo Rozwoju i Upiększania Miasta Sanoka. Wiceprzewodniczący Prez. MRN, Edward Zając, historyk z wykształcenia (nawiasem mówiąc pochodzący spod Zamościa, absolwent lubelskiego UMCS; nie mylić go z Edwardem Zającem, sekretarzem Prez. WRN w Lublinie — nawet nie kuzyni, choć urodzili się w sąsiednich wsiach) pokazywał mi z dumą ten naprawdę interesujący periodyk. Ma Sanok lokalne wydanie „Nowin Rzeszowskich", redagowane przez Sławomira Bałdę, młodego dziennikarza, bardzo popularnego w mieście, choć daleko mu jeszcze do tej popularności, jaką zdobyli sobie miejscowi działacze kulturalni: Stefan Stefański, 90-letni Broni-

ZAMOŚĆ ŻEGNA MR BROWNA

(Dokończenie ze str. 1)

W okresie 1945—1952 Zamość dzielił los innych miast o podobnej strukturze. Polityka państwa zmierzała do uruchomienia podstawowych gałęzi gospodarki narodowej, których zakłady koncentrowały się w dużych i tradycyjnych — poza wyjątkami, jak np. Nowa Huta czy znacznie mniejszy Bodaczów — ośrodkach przemysłowych. Tam inwestowano, tam szły pieniądze, tam kierowano fachowców. Zamość czekał w kolejce. W tym czasie nie wybudowano w mieście żadnego zakładu przemysłowego, a przyrost mieszkańców był funkcją... aktywności małżeńskiej obywateli. Miasto nie mogło sobie pozwolić na kompleksowe leczenie schorowanej Starówki, hierarchia gospodarczo-społecznych potrzeb wykluczała ją z czołowej grupy.

Co bardziej zorientowani w przedmiocie ochrony zabytków mogą mi przecież zarzucić demagogiczną skłonność do wyciągania za włosy tzw. przeszkód obiektywnych, które skonfrontowane z kilkoma historycznymi już faktami nie wytrzymują próby prawdy. Bo przecież w tych właśnie latach zrekonstruowano od fundamentów staromiejskie zespoły urbanistyczno-architektoniczne w Warszawie i Gdańsku, a zabieg ten z punktu widzenia współczesnych poglądów konserwatorskich traktuje się jako co najmniej anachroniczny. Czy równocześnie zabytek klasy zerowej, zamojska Starówka, nie mógł znaleźć się w zasięgu życzliwego spojrzenia władz centralnych? Odpowiem krótko: powojenny priorytet racji politycznych przy podejmowaniu decyzji o znaczeniu ogólnonarodowym wydaje mi się całkowicie uzasadniony, a poza tym same środki z budżetu centralnego nic nie mogły pomóc, jeśli obdarowane miasto nie posiadało odpowiedniego zaplecza techniczno-gospodarczego do ich realizacji. Zamość takiego zaplecza nie miał. Daleki jednak jestem od hasła „nie czas żałować róż, gdy lasy płoną"... Stało się przecież i nie czas na resentymenty. Choć dla nauki zapamiętać warto.

Ożywienie gospodarcze miasta nastąpiło w latach 1953—1958, kiedy to wybudowano w Zamościu kilka nowych zakładów przemysłowych: zakłady zbożowe, chłodnię składową, zakłady mięsne i jajczarsko-drobiarskie, „starą" fabrykę mebli (bo jest i „nowa"). Zamość awansował do roli ośrodka przemysłowego, a równocześnie stał się siedzibą wielu jednostek gospodarczych i administracyjnych, obejmujących swoim zasięgiem pobliskie powiaty: biłgorajski, hrubieszowski, krasnostawski i tomaszowski. Rozwój przemysłu i nadmiar rąk do pracy na wsi spowodowały migrację do Zamościa; średni roczny przyrost ludności kształtował się wówczas na poziomie 1,5—1,9 proc. ogółu mieszkańców (25 tys.). Już wtedy przeczuwano, czym grozi nieustająca migracja, jakie konsekwencje socjalne spowoduje. Starania o zlokalizowanie w Zamościu dużego zakładu przemysłowego nie zakończyły się sukcesem. Elementarne potrzeby gospodarcze miasta wydawały się, przynajmniej chwilowo, zaspokojone.

Wtedy też, po 1956 r., dla zabytków w całym kraju nastały lepsze czasy. Władze zamojskie, wspomagane przez wybitnych naukowców, wykorzystały ten moment.

A czas był już najwyższy. Wspomniana analiza poza zatrważającym stanem budynków wykazała kompletne zniszczenie napowietrznego oświetlenia ulic i zaledwie 40-procentowe uzbrojenie w sieć wodociągową i kanalizacyjną. Do dziś zresztą wielu mieszkańców Starówki czerpie wodę ze studni ulicznych. Naświetlając sytuację zespołu staromiejskiego od strony warunków bytowania jego 4,5 tysiąca mieszkańców, wydobyto drugi ważny powód przeprowadzenia renowacji. Starówka — powiedziano — to nie tylko zabytkowe mury, ale żywi ludzie. Zamość to nie tylko szacowne historią miasto, ale dynamiczny ośrodek urbanistyczny. Warto zapamiętać tę opinię.

W 1961 r. Prezydium MRN opracowało program renowacji, który zamknął się sumą 165 mln zł. Po zaakceptowaniu programu przez Prezydium WRN, do akcji wkroczyło przedsiębiorstwo „Pracownie Konserwacji Zabytków" w Warszawie, które bardzo, bardzo szybko wykonało dokumentację projektowo — kosztorysową. Ten pośpiech — usprawiedliwiony różnymi okolicznościami — nie we wszystkich wypadkach skrócił drogę do ostatecznego celu. Realizację prac remontowo-budowlanych podjęło miejscowe przedsiębiorstwo (MPRB), które w dziedzinie ochrony zabytków nie miało najmniejszego doświadczenia. Olbrzymie zadanie renowacji pomnika kultury narodowej rozpoczęto więc w warunkach nieco partyzanckich.

Wbrew jednak wszelkim przepowiedniom, których sens ilustruje obiegowa nazwa MPRB — „miejskie przedsiębiorstwo ratuj boże" — budowlani na ogół dobrze wywiązali się z nałożonych zadań. Prace rozpoczęli od wschodniej części miasta, mniej wartościowej pod względem zabytkowym, lecz najbardziej zniszczonej. Dotychczas przeprowadzili remonty kapitalne w kilkunastu budynkach mieszkalnych, polegające na wymianie zniszczonych stropów, elementów konstrukcyjnych i dachów. Celem rozluźnienia zabudowy zlikwidowali budynki gospodarcze i oficyny, w podziemiach zbudowali komórki. Zgodnie z założeniami projektowymi przebudowane wnętrza mieszkalne dostosowano do aktualnych kryteriów kultury mieszkania, lecz właśnie ta „aktualność" wymaga krytycznej uwagi.

Dokumentacja projektowa renowacji tej części Starówki powstała w czasie, kiedy na siłę forsowano u nas do przesady oszczędne budownictwo.

Dotknęło to także renowacji Zamościa w postaci wspólnych ubikacji i jednego ujęcia wody dla kilku mieszkań. Całe szczęście, że rozrzut tego poklosia nie był zbyt szeroki, wiele wyremontowanych staromiejskich domów posiada całkiem znośny standard.

Dokumentacja nie przewidywała także centralnego ogrzewania w rejonie Starego Miasta. W styczniu ubiegłego roku, podczas dyskusji zorganizowanej z inicjatywy „Kameny" na temat zamojskich zabytków, inż. arch. Z. Hamanowa, autorka planu szczegółowego zagospodarowania miasta, zapytała m.in.: *Czy planuje się założenie na Starym Mieście centralnego ogrzewania? Żeby nie było tak: przeprowadzi się renowację, a potem przystąpi do burzenia ścian celem jego przeprowadzenia.*

Odpowiedź inż. arch. T. Makarskiego z warszawskich PKZ była jednoznaczna: *Niestety, pozostaną piece. Sprawa jest trudna i związana z wieloma obiektywnymi trudnościami, jak na przykład lokalizacją kotłowni.* Według ostatnich informacji kotłownia zostanie zbudowana w stosunkowo dogodnym miejscu, co pozwoli na wprowadzenie sieci ciepłowniczej w obręb Starówki. I znów kłopoty.

Tak przedstawia się skromny obraz konsekwencji wzajemnego przenikania się, uwarunkowania spraw wielkich i małych, decyzji centralnych i lokalnych.

Nie ulega przecież wątpliwości, że pomimo mniejszych czy większych uchybień renowacja Starówki przebiega zgodnie z planem, którego założenia — znów: poza nielicznymi wyjątkami — są słuszne i realne. Dotychczas przekazano do użytku wnętrza 11 budynków mieszkalnych, w sumie 215 izb. Niedługo zakończone zostaną prace w obrębie tzw. Podkarpia, gdzie w przyszłości otwarta zostanie restauracja z coctail-barem oraz, w podziemiach, winiarnia. Odnowiona synagoga-biblioteka, z pięknym stiukowym wystrojem, czeka tylko na nowe elewacje (dokumentacja!). Na koniec sierpnia przewidziano zakończenie prac renowacyjnych w Ratuszu, które prowadzą PKZ, remontujące budynki o szczególnych wartościach zabytkowych. Na tym nie koniec.

Niedawno opracowano w Zamościu nowy program renowacji, który czeka w Ministerstwie Gospodarki Komunalnej na zatwierdzenie. Rozłożony na lata 1969—80, wymagający 270 mln zł, obejmuje nie tylko remonty pozostałych budynków mieszkalnych ale także renowację zabytkowych gmachów dzisiejszego kina „Stylowy", sądu, dawnej Akademii, uwzględnia uporządkowanie nadszańców i urządzeń komunalnych.

Aby ten perspektywiczny i z rozmachem nakreślony program wcielić w życie, należy spełnić tylko jeden warunek: wybudować do 1975 roku 498 nowych mieszkań dla osób, które opuszczą Starówkę. A opuścić muszą, ponieważ w trakcie renowacji likwiduje się oficyny, łączy niewielkie klitki w większe zespoły, a dotychczasowe mieszkania na parterach adaptuje do potrzeb zakładów usługowych. Tego wymaga sensowna renowacja, zmierzająca do zmniejszenia zaludnienia Starówki, a tym samym do częściowej zmiany funkcji tego rejonu Zamościa i do poprawy warunków mieszkalnych tych osób, które tu pozostaną.

Tylko dwie drogi prowadzą do uzyskania owych 498 mieszkań: zwiększenie budownictwa spółdzielczego dla ludzi zamożniejszych (178 mieszkań) oraz rozszerzenie zakresu budownictwa z funduszów rad narodowych (320 mieszkań). Wobec obowiązujących zasad polityki mieszkaniowej to drugie rozwiązanie może napotkać poważne trudności. Jestem jednak głęboko przekonany, co do konieczności, powiedziałbym — dziejowej konieczności uznania przez władze nadrzędne zamojskich racji. Miasto znajduje się w stanie wyjątkowym, a w takim stanie powinny obowiązywać prawa — w tym wypadku przywileje — nadzwyczajne.

Gospodarze Zamościa wskazują jednocześnie na szereg innych problemów, wymagających szybkiego rozwiązania. Nie tak ważne, jak wspomniany przed chwilą, w sumie jednak tworzą element istotny dla dalszych losów renowacji. W tak skomplikowanym i wewnętrznie powiązanym przedsięwzięciu, każdy szczegół jest niezbędny. W Zamościu, po pierwszym partyzanckim okresie, kiedy próbowano różnych metod działania, kiedy

Kamena str. 6

sław Filipczuk, mgr Kawski czy emerytowany nauczyciel Franciszek Moszoro.

Dumą miasta jest jednak przede wszystkim Muzeum Historyczne na zamku, istniejące od roku 1934, a kierowane przez dyr. Stefana Stefańskiego, który razem z Aleksandrem Rybickim, Bolesławem Skwarczyńskim i Adamem Fastnachem był założycielem tej placówki. Muzeum ma działy historyczny i artystyczny oraz bibliotekę z około 30 tys. woluminów, w tym 700 starodruków cyrylicą. Dział historyczny posiada 3 000 eksponatów, w dziale artystycznym znajduje się największa w Polsce kolekcja ikon, które eksponowane bywają często w kraju i za granicą. Muzeum gości rocznie około 60—70 tys. zwiedzających. Do muzeum warto przyjść i niezależnie od wartości eksponatów, bo sam zamek położony jest przepięknie, na wysokiej skarpie nad Sanem, z widokiem na Góry Słonne. W pobliżu wmurowana jest w skałę tablica (znów tablica), upamiętniająca obronę w roku 1939. W Olchowcach pod Sanokiem powstaje muzeum budownictwa ludowego, w którym znajdą schronienie niszczejące drewniane cerkiewki, domy mieszkalne i obiekty gospodarskie.

Sanok nie leży w Bieszczadach, ale przez niego prowadzi trasa w ten rejon górski. Tu więc zatrzymują się po drodze niemal wszystkie wycieczki, bądź to na nocleg, bądź tylko dla zaopatrzenia się w

pomost

Romuald Wiśniewski

prowiant. Nie brak i gości zagranicznych, a zwłaszcza Czechów i Słowaków. W powiecie sanockim formował się we wrześniu 1944 roku I Korpus Czechosłowacki, który potem wykrwawił się mocno przy zdobywaniu podsanockiej wsi Besko. Nasi południowi pobratymcy często odwiedzają pole walki. W sumie przez miasto przewija się około 350 tys. turystów rocznie. Niewielki hotel miejski „Bieszczady" (50 miejsc), stacje PTTK i hotelik na stadionie sportowym nie są w stanie pomieścić wszystkich poszukujących noclegu. W budowie jest nowy hotel, 200-łóżkowy, z restauracją, zapewne jednak i on nie wystarczy. Hotelarstwo sanockie korzysta więc z kwater w mieszkaniach prywatnych. Ci więc sanoczanie, którzy mają taką możliwość dorobienia sobie, spoglądają na turystów szczególnie chętnym okiem. Ale i inni są życzliwi, bo turyści, choć wykupują atrakcyjne towary, wnoszą wiele ożywienia w życie miasta. Także prawie każdy zespół artystyczny, udający się na wycieczkę w Bieszczady, po drodze występuje tutaj.

Jednak i w tej dziedzinie Sanok może opierać się poważnie na własnych siłach. O życiu kulturalnym miasta opowiadał mi Kazimierz Surman, kierownik Wydziału Kultury Prez. PRN, człowiek znający teren doskonale, bo przyjechał tu w roku 1947 jako świeżo upieczony oficer i potem, kiedy czasy stały się już spokojniejsze, został zdemobilizowany. Od 11 lat zajmuje obecne stanowisko. Budżet powiatowy na kulturę (nie ma oddzielnego miejskiego) wynosi 3 mln zł rocznie, z czego 1 200 tys. zł przypada na bibliotekarstwo (270 tys. zł na sam zakup książek). W miastach powiatowych życie kulturalne koncentruje się przeważnie w powiatowym domu kultury. Sanocki PDK to przedwojenny Dom Żołnierza, zniszczony poważnie w roku 1944 (7 sierpnia 3 razy przechodził z rąk do rąk), a potem spalony przez UPA, dziś odbudowany. Prowadzi przede wszystkim pracę instruktażową dla innych placówek (w ostatnich 15 latach postawiono w powiecie czynem społecznym 22 wiejskie domy kultury i domy ludowe), choć posiada też własne grupy artystyczne, a w jego sali widowiskowej o 300 miejscach występują różne zespoły sceniczne i estradowe. W mieście istnieją jeszcze dwa domy kultury: jeden przy fabryce autobusów, drugi, w samym centrum Sanoka, w lokalu dawnego kina „Fata Morgana", jest własnością przemysłu naftowego i gazowego. Przemysł to dobry patron kultury, bo możny. W klubach zakładowych istnieją więc orkiestry dęte, zespoły big-beatowe, śpiewacze itd. Wysokie uznanie u publiczności ma zespół teatralny naftowców i gazowników. Na przedstawieniach zawsze jest stuprocentowa frekwencja. Właściwie powinienem napisać „była", gdyż długoletni reżyser-amator Tadeusz Chłodnicki ze względu na zły stan zdrowia nie może prowadzić prób i teatr zawiesił działalność. Bardzo aktywny jest natomiast zespół estradowy. Obecnie przygotowuje się on — wspólnie z zespołem pieśni i tańca z Niegłowic — do wyjazdu na występy do Francji. Estradę pcha jak może Maria Roszniowska, była „mazowszanka", obecnie najlepsza odtwórczyni piosenki radzieckiej w województwie (M. Roszniowska też jedzie do Francji).

U naftowców i gazowników zagrałem w brydża, w klubie PTTK „Grześ" (to na cześć Grzegorza z Sanoka, którego imieniem nazwano także ulicę), partyjkę szachów w dość nudnej atmosferze — ale z ciekawym człowiekiem, zwierzającym mi się z planów powołania w Sanoku Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Łemków w Polsce, kolację zaś zjadłem w „Parkowej", gdzie można dostać wiele smakowitych, a niechętnie uznawanych przez naszą gastronomię dań, jak boczek pieczony, golonkę, kiełbasy zasmażane oraz liczne przekąski. Mimo istnienia tych lokali, mimo trzech kin, Sanok, stolica największego powiatu w województwie rzeszowskim, wieczorem jest cichy i senny. To znaczy był taki w czasie mego pobytu, w chłodnym, deszczowym maju. Bo już czerwiec — jak zapowiadali miejscowi — zmieni całkowicie charakter miasta. Zjadą turyści. Będą chodzić po mieście w najcudaczniejszych strojach, grać i śpiewać, bawić się, szykować do wypadu w Bieszczady, chodzić na wyprawy w Góry Słonne, a także do oddalonego trochę bardziej Beskidu Niskiego. I do nich właśnie apeluję, by znalazłszy się przy płytach i pomnikach postawionych dla uczczenia ludzi, którzy ginąc od kul zza węgla i poniemieckich min przywracali tę ziemię życiu, nie zapomnieli położyć kwiatka.

Stymulatory Styki

To, co Adam Styka, plastyk lubelski młodej generacji, pokazał we wrocławskiej Galerii „Mona Liza", kierowanej notabene przez ekslublinianina Jerzego Ludwińskiego, trzeba uznać za znamienne nie tylko dla jego osobistej postawy twórczej. Pokaz, bo trudno tu użyć konwencjonalnego określenia „wystawa", ilustrując ewolucję twórczości Styki i sposób pojmowania przez niego sztuki w ogóle, dostarcza dowodów potwierdzających silne tendencje plastyki dzisiejszej do nawiązania bardziej bezpośredniego kontaktu z rzeczywistością społeczną. Przy okazji przypomnijmy...

Amerykański pop-art z całą bezwzględnością wtargnął w społeczno-cywilizacyjną strukturę współczesności, wyszydził, pozornie konsekrując, przedmioty codziennych pożądań amerykańskich mieszczuchów, z sedesu uczynił pomnik, z polędwicy cymbol, z samochodu — znak ikonograficzny najwyższej jakości. Natomiast nowa figuracja odwołała się do człowieka w sposób mniej bezpośredni, uwagę skupiła na ogólniejszych treściach ludzkiego losu.

Obok tych, zbliżonych w końcu, kierunków widzenia świata w jego wymiarze humanistycznym, równie dynamiczny rozwój wykazuje sztuka pojmująca swoją społeczną powinność w sposób całkowicie odmienny, pozornie oddalony od spraw człowiekowi bliskich. Mam na myśli np. twórczość düsseldorfskiej Grupy „O" i padewskiej Grupy „N". Przedstawiciele tej ostatniej traktują działalność twórczą po prostu jako r o b o t ę, wymagającą znajomości praw fizyki, optyki, wiedzy socjologicznej i orientacji filozoficznej. Rezultaty swojej pracy widzą tylko w kontekście społecznym, jako — co niezmiernie ważne — elementy integrujące. Chodzi im o „wprowadzenie struktur wizualnych w określone znaczenia, a więc do określonych zastosowań".

Różne drogi prowadzą plastykę współczesną do przełamania tej bariery społecznej nieufności, a często niechęci, która jako fakt historyczno-psychologiczny, mocno zakorzeniony w świadomości, nie pozwala jeszcze dostrzec ogółowi autentycznych wartości proponowanych przez sztukę dzisiejszą. O ile jednak pop-art czy nowa figuracja przynajmniej częściowo osiągnęły ten cel, o tyle sztuka kinetyczna i wizualna w dalszym ciągu musi bronić się przed zarzutami czczego, nieprzydatnego i obcego człowiekowi działania, że zarzuty te są bezpodstawne, przekonuje m.in. wrocławska wystawa Styki.

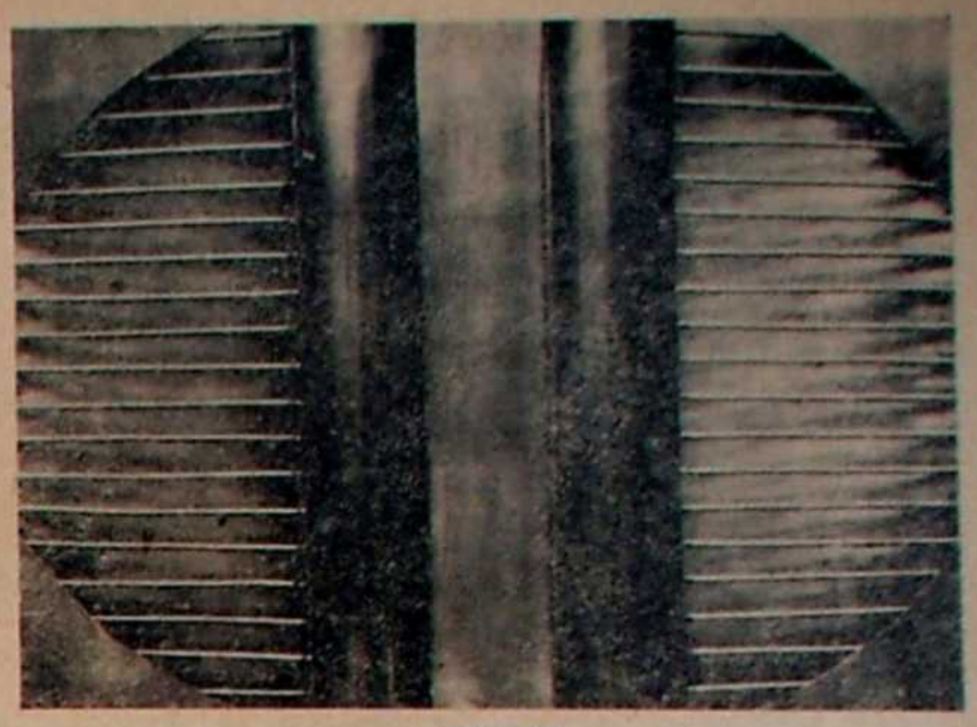

Stymulator

Fot. Z. Zugaj

Adam Styka rozpoczął swoją działalność twórczą od malarstwa ideowo zbliżonego do postimpresjonizmu, co tłumaczą studia w jednej z kolorystycznych pracowni łódzkiej uczelni. Już te pierwsze, poszkolne obrazy sygnalizowały mentalność artystyczną skłonną do racjonalnego porządkowania powierzchni płótna. Tendencja ta ujawniła się w pełni wówczas, kiedy po I Sympozjum Artystów Plastyków i Naukowców w Puławach, w którym Styka uczestniczył, malarz skierował uwagę na inne tworzywo — na blachę stalową i aluminiową — wymagające decyzji ostatecznych i intelektualnie przetrawionych.

Efekty tej uwagi znajdowały się na wrocławskim pokazie w jego części pierwszej, niejako wprowadzającej. Były to blaszane prostokątne obrazy o ograniczonej przestrzenności, wzbogaconej światłem reflektorów — były to, zgodnie z autorską nazwą, s t y m u l a t o r y, czyli źródła bodźców wizualnych. Decydujące znaczenie w rozwijaniu i komplikowaniu postaci obrazów przypadło przecież widzom, którzy zmieniając swoje położenie, odkrywali nowe, choć złożone z tych samych elementów konstrukcje.

Ten margines swobody widza i stopień jego udziału w procesie multiplikacji dzieła zostały rozszerzone w następnym układzie, który Styka nazywa otwartym. Zawiera on bowiem nieograniczone wprost możliwości kombinacji przestrzennych, uzależnionych od liczby powtarzalnych elementów, owych stalowych i gibkich prętów z prostokątnymi „żaglami", osadzonych na metalowych biegunach, umożliwiających ruch wahadłowy. Uzależnionych także od siły strumieni powietrznych, które układ ten uruchamiają.

Mamy więc do czynienia z samoorganizującą się rzeczywistością przestrzenną, którą trudno precyzyjnie opisać. Układ ten działa wyłącznie emocjonalnie, jest nieustającą przygodą, budzi skomplikowane i najbardziej proste skojarzenia.

Drugi człon tej części pokazu opiera się na nieco innej zasadzie, główną jego siłą motoryczną jest światło punktowe trzech reflektorów, padające dwukolorowym strumieniem — czerwonym i niebieskim — na swobodnie zgrupowane wysokie pręty ze znanymi już „żaglikami". Refleksy świetlne na blasze nie ograniczają się jednak do dwóch tylko kolorów, albowiem odmienny kąt padania światła, zróżnicowanie fakturalne prostokątnych powierzchni oraz nieuchwytne ich drżenie dają zaskakująco bogaty rejestr barw — od fioletów, złocistych żółci, do lekkich błękitów i cynobru, które ujawniają się w zależności od pozycji odbiorcy. W ciemnym pomieszczeniu — kotary na oknach — odbywa się więc niezwykły spektakl, inspirowany przez artystę s t y m u l a t o r a m i, a rozwijany przez widzów-uczestników.

Zwróćmy uwagę: na początku Styka malował obrazy, nazwijmy je tak, kameralne — możliwe do kontemplacji. Następnie konstruował metalowe obrazy przestrzenne, również kameralne i także do kontemplacji. Kiedy wzbogacił je światłem, fakt estetyczny zaczął przemieniać się w akt, a dzieła domagały się innych warunków ekspozycji. Na koniec zrezygnował z obrazu i zorganizował kinetyczną przestrzeń; fakt estetyczny ustąpił miejsca aktowi, a kontemplacja widza — czynnemu jego uczestnictwu.

Życie współczesne uzasadnia te przemiany, nie wynikają one z autorskiego „widzi mi się", są konsekwencją postawy realistycznej. Wystawa Styki jest odpowiedzią na głosy zarzucające plastyce współczesnej zerwanie kontaktu z rzeczywistością — także humanistyczną.

I J K

---

w codziennym doświadczeniu poznawano tajniki wielkiej odnowy, przyszedł czas na myślenie kompleksowe.

Tak więc władze, konsultujące się ze specjalistami, uważają za konieczne powołanie przy Prezydium WRN pełnomocnika do spraw renowacji (większe możliwości kontaktów z Warszawą), utworzenie przy Prezydium MRN biura renowacji, jako podstawowej jednostki koordynującej, zwiększenie mocy przerobowej PKZ i MPRB (z równoczesną budową bazy dla tego ostatniego przedsiębiorstwa) oraz zasobów izb zastępczych przez wybudowanie odpowiedniego budynku. Ponadto uważa się za nieodzowne powołanie Miejskiego Konserwatora Zabytków, który czuwałby bezpośrednio nad przebiegiem prac w obiektach zabytkowych.

Renowacja Starego Miasta trwa. Od początku towarzyszy jej dyskusja, której uczestnicy — naukowcy, działacze społeczni, publicyści, mieszkańcy Zamościa — reprezentują różne poglądy, odmienne szkoły myślenia. Historycy sztuki kłócą się o nieistniejące attyki, jedni są za ich rekonstrukcją (*za wzór niech posłużą przekazy ikonograficzne, ot, choćby siedemnastowieczny sztych z kościoła w Bukowinie*), inni są przeciw: *to przecież sprzeczne z nowoczesną ideą konserwacji!* Kieruje się uwagę na unikalne wartości resztek systemu fortyfikacji, podając w wątpliwość sens remontu Podkarpia. Po co restaurować budynek kina „Stylowy", jeśli dawno już utracił on czystość stylową?! Dlatego — ripostuje konserwator wojewódzki — że zamojskie Stare Miasto jest zabytkiem urbanistyczno-architektonicznym, prezentującym w niemal nieskażonej postaci nawarstwianie się różnych epok. Lokatorzy staromiejskich kamieniczek nie ceregielą się zbytnio: *Na Starówce nic się nie robi!* Przekwaterowani do mieszkań zastępczych domeldowują szybko krewniaków ze wsi, aby tylko uzyskać większy metraż w odnowionych mieszkaniach. Lokalizację nowego hotelu przy ul. Ormiańskiej ktoś tam uznał za... zbrodnię, ponieważ gmach zasłoni widok na Ratusz, a w ogóle to mógłby być trochę wyższy... Gospodarze miasta przyzwyczaili się już do tego słowobicia. Nie oni zresztą opracowali koncepcję renowacji, myślały nad nią co tęższe uczone głowy krakowsko-lubelsko-warszawskie...

Pojawiły się też proroctwa, czym Zamość mógłby być, gdyby... Jedno z nich wymaga specjalnej uwagi, ponieważ opiera się na modnych w pewnych s f e r a c h poglądach na rolę i charakter miast zabytkowych. Jego logika ma w sobie coś ze wspomnianej na początku „metodologii widzenia" a la „widzi mi się". Przed tym nieodzowna informacja: niedawno zapadła ostateczna decyzja zlokalizowania w Zamościu dwóch dużych zakładów przemysłowych, które w sumie zatrudnią ok. 7 tys. osób.

Z tego właśnie powodu kilka miesięcy temu lamentował na łamach „Polityki" (nr 44/67) i „Dziennika Polskiego" Janusz Roszko, który wyznaczył był Zamościowi rolę ośrodka turystycznego, ściągającego zagranicznych gości, a z nimi dewizy. Ale *przemysł jest strasznym bogiem* — stwierdził z nieukrywanym sarkazmem — *a turystyka pinczerkiem, więc na wyjątkowości Zamościa byznesu nie będzie, a mister Smith z New Yorku, tudzież mister Brown z Londynu, którzy chcą ujrzeć coś osobliwego — nie będą żałować, bo nigdy o istnieniu Zamościa się nie dowiedzą. To nawet dobrze, bo po co ich w hoteliku z dawnej bramy miejskiej lokować i za potrzebą za stodołę wyganiać.*

Przy okazji Roszko rysuje alternatywę zakładu przemysłowego. Widzi ją w kombinacie hotelowo-relaksowym, który obejmowałby 10 supernowoczesnych gmachów, wznoszących się nad błękitną tonią zamojskich rzeczułek i stawów. Jest to, oczywiście, propozycja wywoławcza, nieobowiązująca w szczegółach, lecz sprowadza się w końcu do lansowania tej samej teoryjki: atrakcyjny zespół zabytkowy powinien chronić swoje walory przed chamskimi zakusami przemysłu, albowiem tylko w ten sposób nie straci egzotyki, klimatu wyjątkowości, a pieniędzy przyniesie tyle samo, co fabryki. A więc mamy do czynienia z kolejną sugestią przekształcenia żywego, 32-tysięcznego miasta w skansen, tyle że na wysoki połysk. Europejskie myślenie, nie ma co!

Zachęcony szkicem Roszki o Smithcie i Brownie, otwierającym pole do swobodnej gry wyobraźni, spróbuję urealnić — na papierze — jego marzenia. Oto ranek i popołudnie dostojnych gości:

Skoro świt Brown i Smith, w towarzystwie innych przedstawicieli zachodniej finansjery, wsiadają do supernowoczesnego autokaru o nazwie „Blue Shadow", który należy do administracji supernowoczesnych hoteli Zamościa, przystosowanych do przewożenia dewizowych turystów. „Błękitny Cień" rusza bezszelestnie, aby po kilkunastu minutach jazdy błyszczącą asfaltową szosą zatrzymać się w specjalnym zagajniku. Rusza nagonka. Dyrektor MPGK, ukryty dla niepoznaki w krzaku jałowca, wydaje rozkazy przy pomocy krótkofalówki marki „Philips". Do akcji ruszają niedźwiedzie, produkowane dla dolarowych na specjalnej mieszance „Roztocze beer" przez miejscowe ZOO. Po udanym polowaniu — kilka tysięcy dolarów w miejskiej kasie — dostojni uczestnicy w wielkim bankiecie wśród renesansowej scenerii staromiejskich kamieniczek. Mieszczki zamojskie — odpowiednio przystosowane — nie skąpią wdzięków znakomitym turystom, udzielają wyczerpujących informacji o ordynacie i dziejach renowacji Starego Miasta. Trefnisie miejscy — pełny etat — z właściwym sobie sprytem wtykają gościom foldery w sześciu językach. W finale bankietu występuje Orkiestra Włościańska im. K. Namysłowskiego, która kończy koncert popularną wśród ludu melodią „I love you". Smith z Brownem mają łzy w oczach i bijąc się po portfelach zaklinają, że Zamościa nigdy nie zapomną. Odjeżdżają, a ich „Plymouth" żegnają barwne tłumy, wśród których czernieją jakieś obdartusy. Kto to?

Pora kończyć z satyrą, bo sprawa nie nastraja do wesołości. Zamość potrzebował i potrzebuje przemysłu, albowiem tylko takie inwestycje są w stanie rozwiązać nabrzmiałe problemy społeczne miasta.

Renesansowa perła leży w województwie niezwykle słabo uprzemysłowionym. Liczba osób zatrudnionych w przemyśle i rzemiośle stanowi zaledwie 5,1 proc. ogółu ludności Lubelszczyzny, przy średniej krajowej ok. 12 proc. Zrozumiałe więc, że i pod względem wartości globalnej przemysłu województwo zajmuje jedno z ostatnich miejsc w Polsce: 10 tys. zł na jednego mieszkańca, gdy średnia krajowa wynosi 21 tys. zł. Stopień udziału w produkcji globalnej przemysłu plasuje Lubelszczyznę na 14 miejscu w hierarchii województw, natomiast powierzchnia na 3, a liczba ludności na 7 miejscu. W tej sytuacji każdy nowy zakład przemysłowy zlokalizowany na Lubelszczyźnie jest rzeczywiście na wagę złota, co nie wymaga chyba dodatkowych uzasadnień. Można jednak zapytać: dlaczego pcha się wielki przemysł do Zamościa?

Przypomnę: Zamość jest w tej chwili drugim po Lublinie ośrodkiem przemysłowym. Ponad 80 proc. jego mieszkańców utrzymuje się z pracy pozarolniczej. Jest przy tym c e n t r a l n y m ośrodkiem całego regionu gospodarczego liczącego p i ę ć s e t t y s i ę c y mieszkańców. Przekształcenie Zamościa — sytuacja modelowa — w obiekt zabytkowo-turystyczny, wyłącznie taki, musiałoby wstrząsnąć całą strukturą społeczno-gospodarczą poważnego obszaru województwa. Należy też powątpiewać, czy przemysł hotelarski byłby w stanie zaoferować tyle miejsc pracy, ile daje przemysł istniejący i ile da planowany, ten ostatni przede wszystkim. W tym właśnie miejscu wyłania się jeszcze jedno, kto wie, czy nie najważniejsze uzasadnienie rozbudowy przemysłu w Zamościu.

Od kilku lat problemem socjalnym numer jeden władz miejscowych jest nadmiar rąk do pracy. Rozdrobnienie gospodarstw rolnych w powiecie oraz wzrost mechanizacji i kultury rolnej uformowały liczną grupę ludzi zbędnych na wsi zamojskiej, która od lat szturmuje miasto. Ta nieustająca fala poszukujących pracy, głównie kobiet zderza się z absolwentami zamojskich szkół średnich, których poważny odsetek także nie może znaleźć zatrudnienia. W latach 1966—67 nadwyżka siły roboczej wahała się w granicach 1100—1200 osób.

Załóżmy nawet, że urzeczywistniono roszkowską (?) koncepcję Zamościa *z basztami i bramami*, która podobno *wszystkim* [? — uw. IJK]... *bardziej do gustu przypada*. Mogłoby to nastąpić nie wcześniej niż za lat dwanaście, czyli w momencie całkowitego zakończenia prac renowacyjnych, bo turysta — dewizowy, oczywiście, ale nie tylko — lubi i wygody i coś do estetycznej kontemplacji. Ciekaw jestem, jakimi to sposobami i przy użyciu jakich to środków władze zamojskie mogłyby neutralizować społeczne napięcie, powodowane permanentnym brakiem stanowisk pracy? Może „skansenowcy" znają odpowiedź, bo ja nie.

Zlokalizowane w Zamościu Zakłady Materiałów Elektroizolacyjnych zatrudnią 5270 osób, w tym 2300 kobiet, a zakłady odzieżowe 820 osób w pierwszym etapie (700 kobiet). Już teraz, licząc się ze wzrostem liczby mieszkańców, zlecono opracowanie alternatywy planu szczegółowego Nowego Zamościa, gdzie znajdzie się osiedle mieszkaniowe dla 10300 osób. Na tym nie wyczerpują się zyski, albowiem istnieje jeszcze program tzw. inwestycji towarzyszących, opracowany przez miasto w porozumieniu z resortem chemii.

Przewiduje on przebudowę i modernizację układu kolejowego, budowę dworca PKS, elektrociepłownię o zasięgu ogólnomiejskim, ujęcie wody, biologiczną oczyszczalnię ścieków, Dom Chemika, Technikum Chemiczne i Mechaniczne, Zespół Szkół Artystycznych z internatami, hotele robotnicze, Dom Turysty na 200 miejsc, ośrodek sportowy — stadion, hala, basen kryty i otwarty... Imponujące.

Ale i realne! W dniach 20—21 maja obradowała w Zamościu konferencja koordynacyjna z udziałem przedstawicieli Ministerstwa Gospodarki Komunalnej i Przemysłu Chemicznego, Prezydiów WRN i MRN, na której zapadły ostateczne decyzje dotyczące m. in. terminów uruchomienia inwestycji towarzyszących.

Życie ma swoje prawa i instynkt samozachowawczy każe je honorować. Zamość, zabytkowy skansen renesansowych wspaniałości, byłby miastem martwym, jakoś zwyrodniałym. Spójrzmy, czym są dzisiaj muzea, czy nie kojarzą się z kostnicami pełnymi zakonserwowanych szkieletów?

Zamość — renesansowa perła w nowoczesnej oprawie — będzie żywym organizmem, poświadczającym ciągłość narodowej tradycji. Sami historycy sztuki twierdzą, że walory zabytkowe miasta wynikają m. in. z nawarstwienia się różnych stylów, różnych epok. Czy nasza nie ma prawa do zaznaczenia w Zamościu swej obecności?

Ireneusz J. Kamiński

20 LAT TAŃCA

W DNIACH 15 i 16 czerwca Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej obchodził dwudziestolecie istnienia. Podczas galowego koncertu wystąpił w pełnym 140-osobowym składzie. Przy dźwiękach własnej kapeli produkowały się sekcje: „dorosła", młodzieżowa i dziecięca, śpiewał chór. Wśród występujących widziało się tancerzy, których piszący te słowa jeszcze jako dziecko oglądał również jako dzieci na scenie powstałego w 1948 r. Teatru Młodego Widza. Nikt wówczas nie przypuszczał, że mały amatorski zespół taneczno-wokalny objedzie z występami pół Europy, zdobędzie szereg nagród na międzynarodowych festiwalach folklorystycznych, wyda wiele znanych polskich aktorów estradowych, skojarzy... 18 małżeństw, że wreszcie — podczas jubileuszu dwudziestolecia — założyciele Zespołu wystąpią na estradzie wspólnie ze swym potomstwem tańczącym już w grupie dziecięcej.

W okresie istnienia Zespół dał ponad 1800 koncertów, od małych wiejskich scenek poczynając, na paryskich kończąc. Liczne tournee zagraniczne, pochlebne recenzje, nagrody mogłyby odbić się ujemnie na „morale" zespołu, przyczynić się do wytworzenia atmosfery gwiazdorstwa. Że tak nie jest, może świadczyć choćby fragment sprawozdania przedstawiciela „Pagartu", który towarzyszył Zespołowi Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej podczas ubiegłorocznego wyjazdu do Belgii i Luksemburga:... *W czasie całego tournee, poczynając od wyjazdu z Zespołem z Warszawy do powrotu, mogę w najwyższych superlatywach mówić o Zespole, którego moralna i społeczna postawa, wyrobienie polityczne, uczciwość, sumienność, dobre wychowanie, punktualność na wszelkie zajęcia — mogłaby być przykładem dla innych zespołów, z którymi wielokrotnie miałem do czynienia. Niewątpliwą zasługą takiej postawy Zespołu jest umiejętność pedagogiczna założycielki i dyrektorki Zespołu p. Wandy Kaniorowej. Jest ona nie tylko nauczycielem Zespołu, ale jego troskliwym opiekunem, niemniej mimo niemal matczynej opieki potrafi zachować właściwy dystans, dyscyplinę i karność w Zespole. Nie znam drugiego Zespołu o tylu przymiotach...*

— O historii Zespołu, o jego osiągnięciach pisano niejednokrotnie, niewiele jednak o jego funkcji wychowawczej. Z perspektywy dwudziestu lat można śmiało spojrzeć na swoje doświadczenia w tym względzie, należycie je ocenić. W tym też tonie przebiegała nasza jubileuszowa rozmowa z założycielką, choreografem i kierownikiem artystycznym Zespołu — Wandą Kaniorową.

— Przez Zespół przewinęło się kilkaset osób. Niektórzy pracują od momentu jego powstania, wielu to „kilkunastolatki". Co, zdaniem Pani, stoi u podstaw tak ścisłej więzi z tym absorbującym i wyczerpującym, a przecież pozazawodowym zajęciem? Próby odbywają się dwa razy w tygodniu, ciągłe wyjazdy...

— Od kilkunastu lat nie wiemy, co to niedziela. To przecież najlepszy dzień do występów. Co się zaś tyczy pierwszej części pytania, wydaje mi się, że najkrócej można by na nie odpowiedzieć słowami: „zapał" oraz „atmosfera". Oczywiście, bez odpowiedniego zapału nikt nie zaangażuje się głęboko w pracę artystyczną. Ale dla podtrzymania tego zapału, dla odpowiedniego pokierowania nim, niezbędna jest odpowiednia atmosfera pracy. Uważam, że taką atmosferę potrafiliśmy w Zespole wytworzyć. Z pewnością jest ona inna niż w zespołach zawodowych, ale też ruch amatorski różni się zasadniczo od zawodowstwa. Wypracowany przez nas „model" atmosfery to przede wszystkim położenie szczególnego nacisku na pracę samorządu no i swego rodzaju „stosunki rodzinne", dzięki którym czas spędzany w Zespole staje się swoistą formą wypoczynku.

— Jak to wygląda w praktyce?

— Staram się jak najmniej ingerować w działalność samorządu. Przede wszystkim zaś jemu pozostawiam sprawę utrzymania karności w Zespole. To nie ja np. tłumaczę spóźnialskim, że marnotrawią czas tych, którzy przyszli punktualnie. W o wiele bardziej przekonywający sposób załatwi się sprawę w gronie rówieśników i kolegów. Z kolei ten, kto sam niedawno upominał współtowarzysza, tym bardziej wystrzega się popadnięcia w kolizję z zespołowym prawem. Ja wkraczam tylko w szczególnie drastycznych wypadkach. Nic dziwnego, że jeżeli już od grupy dziecięcej przyzwyczajamy się do odpowiedzialności za swe czyny, to w latach późniejszych ta odpowiedzialność jest coraz większa.

Inny problem to sprawa występów. Staramy się wpoić młodzieży przekonanie, że spektakle dla wsi czy w małych miasteczkach mają nie mniejsze, ale nawet większe znaczenie niż błyszczenie na międzynarodowych festiwalach. Zresztą muszę tu podkreślić, że w tym względzie nie mamy większych trudności. Nasza młodzież jest uczuciowa. Niejednokrotnie obserwowałam, jak reagowała na wzruszenie prostej wiejskiej widowni, z jakim poświęceniem podrywała się wówczas do tańca nawet w najbardziej trudnych warunkach. Nawiasem mówiąc, historia naszego Zespołu to także wspominki o scenach i estradach, na jakich nam przyszło tańczyć, o zaistniałych lub często cudem uniknięcia wypadkach, które były albo mogły być spowodowane złymi warunkami technicznymi sceny. Tańczyliśmy w sali Pleyela w Paryżu i na deskach Teatro Municipale w Agrigento, ale wycinaliśmy oberki i mazury również na piasku albo na zestawionych platformach ciężarówek. W Szwajcarii organizatorzy w trosce o zapewnienie nam jak najlepszych warunków... wyfroterowali podłogę sceny. Tańczyło się na niej, jak na tafli lodowej.

— Do Zespołu należy młodzież z różnych środowisk. Są tutaj synowie rolników, robotnicy, przedsiębiorcy, inżynierowie, się wielki odsetek dzieci młodzieży szkolnej. Czyżby wyjazdy w teren, a przede wszystkim tournée zagraniczne, nie zawsze przecież przewidywane w miesiącach wakacyjnych, nie w poważny sposób odbiły się na nauce?

— W tym miejscu zatrzeli się o zasygnalizowany już problem atmosfery, „stosunków rodzinnych". Nie ogranicza się ona jedynie do przyjemnego spędzania czasu we własnym gronie, nie wyraża się poprzez fakt zwracania członków grupy dziecięcej do swych starszych kolegów po „wujku". Tutaj się nie tylko wzajemnie wychowuje, tu się pomaga w pracy i w nauce. W ubiegłym roku wyjechaliśmy przed wakacjami za granicę. W Zespole było kilku uczniów. Chłopcy ci mieli w szkole nieszczególne oceny z matematyki i fizyki. Codziennie, w czasie wolnym od występów, starsza koleżanka, Jadwiga Kowalska, studentka UMCS, przerabiała z nimi zaległy materiał. Doprowadziła do tego, że po powrocie chłopcy byli bardziej zaawansowani w nauce niż uczniowie, którzy mieli normalne zajęcia w szkole. Jadwiga potrafiła poświęcić dla kolegów czas przeznaczony na odpoczynek czy na zwiedzanie. Jestem szczęśliwa, że mogę pracować z takimi ludźmi. Zresztą, jeśli chodzi o naukę, to doprawdy przysparza nam ona ostatnio coraz więcej „kłopotów". W Zespole rozpoczął się pęd do podnoszenia zawodowych kwalifikacji. Coraz więcej osób decyduje się na podjęcie studiów zaocznych lub na kontynuowanie nauki w technikach wieczorowych. I dlatego niejednokrotnie próby mogą zaczynać się dopiero o ósmej wieczorem. Co dziwniejsze, taki „rozgardiasz" nie tylko nas nie martwi, ale... cieszy!

— Może więc tym optymistycznym akcentem zakończymy naszą rozmowę? Jeszcze tylko jedno stereotypowe, jubileuszowe pytanie: czego życzyłaby Pani Zespołowi i sobie w następnym dwudziestoleciu?

— Zaprezentowania lubelskiego folkloru na drugiej półkuli. Mamy zaproszenia! A z rzeczy bardziej realnych — dotarcia do jak największej liczby widzów przede wszystkim na Lubelszczyźnie. Także możliwości częstszego występowania przed publicznością lubelską. Scena Teatru im. Osterwy jest dla nas prawie niedostępna, a w klubie „Relaks" — za mała. Dajemy co prawda koncerty w muszli w Ogrodzie Saskim, ale wciąż cierpimy na kompleks, że nie możemy przynajmniej co miesiąc zaprezentować się Lublinowi w pełnych światłach...

Rozmawiał
Mirosław Derecki

Stanisław Małys

Z opowieści o ciotce Rozalii

prolog

trudno mówić sprawiedliwie o ciotce
rozalii nigdy nie mówiliśmy o niej
dobrze z tej prostej przyczyny
że była ciotką budziło to politowanie
i złośliwą satysfakcję pamiętam
o ciotce rozalii mówiliśmy tylko
ciota rozalia ma bzika na punkcie
kaktusów jeżeli musieliśmy mówić
inaczej o ciotce zawsze odczuwaliśmy
jakiś zażenowanie jej obecność
pragnęliśmy wstydliwie przemilczeć
traktować jako coś nie istniejącego
chociaż ona żyła zanim ja przyszedłem
na świat i jak matka mówiła biedna
nasz ciotka rozalia ciebie obok
kaktusów najbardziej kochała

cylindropuntia molesta

ciotka rozalia nigdy nie udawała
śmierci zwłaszcza w późniejszym
wieku od kiedy oblazły ją zmarszczki
i przestała wierzyć w kobiecą moc
przeciwdziałania robactwu
pamiętam kiedyś mówiła śmierć trzeba
szanować ale ja widziałem już wtedy
jak głowę odwracała od żałobnego
orszaku i to utwierdziło w przekonaniu
że ciotka rozalia bała się spotkania
ze śmiercią chociaż coraz bardziej
wystawały żebra kolców jak z boków
zasuszonego kaktusa cylindropuntia
molesta którego była orędowniczką
nigdy też nie odwiedzała po śmierci
znajomych tym większe sprawiła
zakłopotanie w rodzinie gdy podlewając
ostatnią z doniczek zwróciła się słowami
już złóżcie ciało na katafalku
z kolczastym kaktusem dziewictwa

post scriptum

soczyste
słodkie owoce
opuntia ficus — indica
z rodzaju cereus
spożywa się na surowo
w stanie suszonym
w przetworach marmolady
i syropów
przyrządza się także napoje
cereus pruinosus i thunbergii
znane są
z wydzielanych smacznych soków
które po przefermentowaniu
napoje dają
odurzające
a
echinocactus iliamsii
o kształcie kuli żeberkowatej
bez kolców
zwany przez indian peyotl
wywołuje w spożyciu
fantastyczne halucynacje
z młodych pędów
i kwiatów cereus grandiflorus
otrzymuje się środek nasercowy
natomiast
drewno z okazów cereus
służy jako materiał budowlany
a kuliste
w okresach suszy
stanowią źródła najczystszej wody
na innych
rodzaju napalea i opuntia
żyje owad
z którego barwnik purpurowy
echinocactus bezkolcy
i opuntia inermis
służą jako pasza dla bydła

Białystok

W planie na rok 1975 – 8000 studentów!

Rozmowa z rektorem WSI w Rzeszowie doc. mgr inż. R. Niedzielskim

WYŻSZA Szkoła Inżynierska w Rzeszowie istnieje — w różnych formach organizacyjnych — od roku 1951. Początki działalności w mieście bez tradycji akademickich, nie posiadającym kadry naukowej, były trudne. Pierwsze dyplomy szkoła wydała w roku 1955. W początkowych latach uczelnię opuszczało zaledwie 15—17 absolwentów rocznie, potem rozpoczął się powolny wzrost. Do chwili obecnej 320 osób posiada dyplomy inżynierskie z WSI w Rzeszowie. W roku bieżącym liczba ta powiększy się o ok. 100. Od r. 1962 rozpoczął się nowy okres w życiu szkoły. Powstały w niej studia dzienne. O aktualnych sprawach uczelni poinformował naszego reportera jej rektor, doc. mgr inż. Roman Niedzielski.

— Szkoła ma cztery wydziały: Mechaniczny z następującymi specjalnościami: 1) obróbka skrawaniem, obrabiarki i technologia budowy maszyn, 2) urządzenia i aparatura przemysłu chemicznego, 3) remont i eksploatacja samochodu. dalej Wydział Elektryczny ze specjalnościami: 1) elektrotechnika przemysłowa, 2) maszyny elektrotechniczne i akumulatory, Wydział Technologii Chemicznej (jeszcze w w stadium organizacji) ze specjalnościami: 1) technologia chemiczna organiczna 2) technologia chemiczna nieorganiczna i 3) inżynieria chemiczna oraz Wydział Inżynierii Komunalnej ze specjalnościami: 1) budownictwo lądowe i 2) urządzenia sanitarne. Kształci się u nas, na studiach dziennych oraz na studiach wieczorowych i studiach zaocznych, łącznie 1200 osób.

— Czy te specjalizacje, o których Pan Rektor mówił, wynikają z potrzeb województwa, czy z poleceń Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego?

— Oba te czynniki nakładają się na siebie. Cała przecież sieć szkolnictwa wyższego programowana jest w oparciu o potrzeby zarówno ogólnokrajowe jak i regionalne. Prawie 100 procent osób uczących się u nas na studiach wieczorowych i zaocznych to mieszkańcy Rzeszowskiego. Natomiast na studiach dziennych około 25 proc. młodzieży pochodzi spoza województwa.

— Czy WSI współpracuje z miejscowym przemysłem?

— Bardzo szeroko i to od samego początku. Przemysł pomógł bardzo wydatnie w powstaniu naszej uczelni. Jesteśmy jedyną chyba placówką akademicką w Polsce, przy której istnieje Rada Przemysłowa, składającą się dyrektorów wszystkich poważniejszych przedsiębiorstw przemysłowych w województwie. Prezesem Rady jest dyrektor Huty Stalowa Wola, inż. Zdzisław Malicki. Rada jest organem doradczym i inspirującym, zwłaszcza w zakresie studiów dla pracujących. Pomaga nam w uzyskaniu pomocy ze strony przemysłu. Obecnie chcielibyśmy obarczyć ją jeszcze jednym obowiązkiem, a mianowicie zajęciem się naszymi wydawnictwami naukowymi.

Szkoła nasza stara się odwzajemnić tę pomoc m.in. w formie rozwiązywania pewnych problemów, istotnych dla przemysłu. Robimy to bądź w formie prac dyplomowych bądź przez zawieranie umów dwustronnych.

W ramach współpracy z przemysłem utworzyliśmy w Przemyślu, Stalowej Woli, Tarnobrzegu, Dębicy i Gorlicach punkty konsultacyjne dla słuchaczy studiów dla pracujących. Prawdopodobnie w roku akademickim 1968/69 utworzymy nowe. Wielką potrzebę posiadania takiego punktu odczuwa Krosno, z tym, że to miasto interesuje się przede wszystkim ceramiką i włókiennictwem, a my nie mamy takich specjalności — ma je Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie. Ponieważ jednak pierwsze lata studiów w szkołach inżynierskich mają niemal identyczne programy na na wszystkich kierunkach, myślimy o utworzeniu w Krośnie takiego punktu prowadzonego wspólnie przez WSI w Rzeszowie (dla studentów pierwszych lat) i AGH w Krakowie (dla ostatnich lat).

— Panie Rektorze, jak wygląda baza lokalowa uczelni?

— Mamy cztery budynki o łącznej kubaturze ok. 60 tys. m. W budowie są dwa dalsze, przy czym ten dla Wydziału Technologii Chemicznej będzie miał 58 tys. m sześc. Wybudowaliśmy 5 domów akademickich, dalsze będą wzniesione; nie występują więc większe trudności z zakwaterowaniem młodzieży przyjętej na studia. Nasze plany na rok 1975 przewidują kształcenie 8 tysięcy studentów, przy czym baza lokalowa powinna wynosić 260 tys. m. sześc.

(Dokończenie na str. 11)

SIDŁACZ

Leszek Więcko

O RUDNIKU we wsi mówią sidłacz. Chłop to jak świerk, niski, siwawy. Żyje za wsią między pierwszymi sosnami lasu, który duży jest i z Puszczą Białowieską się łączy. Żonę mu dwa lata jak choroba wzięła, sam został, nawet krowę, co ją z żoną chowali, sprzedał. Choć u Rudnika ziemi mało, bez kobiety obrabiać nie może, czy nie chce? Nigdy się zresztą za robotą nie uganiał. Po wojnie zaraz do milicji należał. Starzy chłopi gadali: — Bo mu się na swoim robić nie chce, to cudzego pilnuje. Niedługo on jednak był w tej milicji. Ktoś go skarżył, że w łapę bierze, pewnie prawda, bo ze służby wyleciał.

Tak i teraz próżniaczy. Nie jednak, żeby pijak był. Ot, lubi sobie po lesie łazić, grzyby zbiera, jak żona żyła to i na jagody z nią chodził. Z żoną się Rudnik zgadzał. I ona nie bardzo była robotna. Raczej taka, co to innym pomoże, do miasta z czymś leśnym poleci, sprzeda. Owoce pomogła komu zbierać, to marmelady na zimę narobiła. Ze swego nawet kartofli jej nie starczyło: sadziła mało, ziemia w kotlince, to i wygniło sporo. Ale jakoś przy wsi żyła (gospodyni z niej żadna), ludzie ją jednak lubili. — Taka swoja kobieta ta Rudnikowa — tak o niej baby mówiły.

Po śmierci żony Rudnik całkiem gospodarkę zaniedbał. Zgarbiony, osowiały, po lesie całymi dniami łazi, nic nie zasiewa, kury, co były w domu, pojadł, nawet do ogrodu nie zajrzy, gdzie mu ptactwo porzeczki i słoneczniki do cna objadło.

Jeszcze za życia żony ludziska gadali, że Rudnik zwierzynę z lasu podbiera, jakieś tam doły kopie. Byli i tacy, co mówili, że strzelbę ma i tak dalej od gajówki to sobie czasem huknie, dziczyznę w krzakach schowa, w nocy do domu przywlecze. Tak właściwie nikt tej dziczyzny u Rudnika nie widział, ale gadać, gadali.

Trochę może to gadanie z letników. Co rok do niego przyjeżdżają, dobrze już znajomi, od czterech lat ta sama rodzina. Tym letnikom Rudnik dzika nie raz młodego podrzucał.

— Bo to mi zgaga pod motor wlazł (WFM-kę starą miał, po leśnych dróżkach nią jeździł), nie mogłem ominąć i trzepnąłem, a zostawić szkoda... Bo to i psy rozwłóczą, a i gajowy czepiać się będzie, że to niby umyślnie... Co tam letnicy o tym myśleli, nie wiadomo, ale dzisia — tak mówili — dzisia jedli ze smakiem i parę groszy Rudnikowi wpadało.

Na Rudnikową chałupę już chyba z pięć razy najście było. Gajowy z milicjantami strzelby szukali, strzechę widłami kuli, w oborze gałęzie przerzucali. Naklęli się przy tym, nagrozili. Innego strach by zjadł na amen, a Rudnik nic. Klął się, że o niczym nie wie. Stary jest, ślamazarny — tak o sobie mówił — ślamazara, gdzie mu tam do kłusowania, on by przecie zająca z łapki nie wyciągnął... Bo to nawet zając spokojny nie jest, jak młody jeszcze był, w życie złapał, pamięta, jak to drapać potrafi. O! Drapie zając mocno... A po lesie łazić, łazi, przykrzy mu się, a las lubi, co ma nie lubić, całe życie pod lasem mieszka.

Tymczasem gadali, że Rudnik i sarenkę nieraz ustrzeli, gdzieś tam w zmowie z kimś jest, i do miasta odeśle. Zresztą z czego ten wietrznik żyje, przecie w domu nic nie ma, żryć mu też nikt nie daje? A co tydzień do miasta jedzie, z tą swoją dużą, brązową teczką, jak jaki urzędnik ma tę teczkę, albo jaki poborca. Z miasta wraca, to go czasami na przystanku PKS ktoś ze wsi zaczepi: — A co tam Paweł dobrego kupił?

— A no nic, chleba dwie bułki i trochę soli. — Tak co tydzień sól kupujecie? — A gdzie tam, co tydzień, na miesiąc raz i to wystarczy. — Chleb to sami wiecie, co tydzień mus kupować, bo po tygodniu — kamień, nijak nie ugryzie.

— A to sidłacz — mówili chłopi, jak im kto taką rozmowę powtarzał. — Sidłacz cholerny. Chlebem z solą żyje, jak jaki święty. Głupiego szuka. Nie miałby tej gęby takiej czerstwej, od samego chleba taki zdrowy. On tej zwierzyny to i sam się dobrze nawtyka, a co sprzeda to sprzeda. Z miasta jak wraca to i gorzałkę od niego słychać, nie żeby tak znowu mocno, ale słychać.

— Że też te milicjanty się do niego dobrać nie mogą — dziwiły się baby. — Mego chłopa, jak ino raz te żelastwa do lasu zawlókł, złapali i jeszcze musielim dwa tysiące na kolegium płacić, a mówili, że mało, bo pierwszy raz.

Tak to z zazdrością, na przemian z podziwem, o Rudniku we wsi gadali. Aż kiedyś, w połowie stycznia, kiedy śnieg wszędzie leżał głęboki, a największy w lesie, same zaspy, że i saniami trudno by przejechać, od sołtysa na wieś się rozeszło, że gajowy gdzieś przepadł. Leśniczy najpierw z drugim gajowym go szukał, potem milicjant z nimi.

— Wilków, zdaje się, nie ma — mówił sołtys — zresztą przecie miał strzelbę. Może gdzieś nogę złamał, czy co? To by się jakoś czołgał, do ścieżki dolazł... Nie wiadomo co, a kłopot człowiek ma — mówił sołtys i czoło łyse tarł.

Do Rudnika też to gadanie o gajowym doszło. Od Drobówej, co też na kolonii, tylko bliżej wsi mieszka, córeczka pod wieczór przybiegła. — Wujku! — tak Rudnika nazywała. — Wie wujek, że gajowy gdzieś przepadł? Rano jak poszedł, to i na obiad nie przyszedł i na kolację. Leśniczy z milicjantem go szukają, teraz na Olszankę pojechali...

Coś tam jeszcze mała gadała, po izbie się kręciła. Rudnik jej więcej nie słuchał, swoje myśli miał. Pomrukiwał tam jakieś niby odpowiedzi, ale więcej to mruczenie do siebie niż do dziewczynki. Gdy wreszcie mała, nie znajdując żadnej dla siebie ciekawości, do domu pobiegła, Rudnik po chałupie się zakręcił, jakiś worek znalazł, kożuch na siebie wsadził, walonki, z obory siekierę, taką niedużą siekierę wziął i w noc po śniegu poczłapał.

Gajowy siedział w dole już od rana, zębami szczękał, klął. — Żeby tego sukinsyna pokręciło, co tę pułapkę wyszykował. Żeby go jasna cholera! — Nogę, co mu przy spadaniu skręciło, przed sobą wyciągnął, ruszać się specjalnie nie mógł. — Może i złamałem — myślał, a dół był głęboki i żeby w górę leźć — trzeba by z bólu skowyczeć, a i to na nic, przecie już dwa razy próbował. Tak naprawdę, to powinien o tym dole wiedzieć, chociaż dawno, ale był tu nieraz. Dół jednak teraz głębszy. Śniegiem zaniosło, a ten skurczybyk gałęziami dół przykrył, mchem... Przez noc jeszcze śnieg świeży dopadł. Umarznąć, to tak szybko nie umarznie, bo mrozu specjalnego nie ma, a kożuch długi, ciepły. Tylko, że to już noc i jak go tu kto nie znajdzie, zdrowie zmarnuje, na płuca mu może paść jak nic. Drzeć się już nie da rady. Gardło ma zdrewniałe, jak by pełne sęków, chropawe. Krzyczał kilka godzin, ale to w dolince, śnieg głuszy, a ode wsi dobre siedem kilometrów.

Tak gdzieś koło dziesiątej — zegarek gajowy ze sobą miał — usłyszał gdzieś blisko rąbanie, zrazu myślał, że mu się zwidziało, ale nie, stukot siekiery wyraźny. — Ukosem tnie — mruknął — ukosem... Sił już krzyczeć nie miał, ale dołu miał przecież dosyć. — Hej! Hej! Człowieku! Chodźcie no tu, nogę złamałem, pomóżcie!

Rąbanie ucichło. W jakiś czas potem nad dołem pochyliła się kukła. Zanim gajowy zdążył do niej zagadać wrzuciła do jamy świeżo zrąbanego chojaka i uciekła. Zdążył zobaczyć, że miała worek na głowie i tyle. — Ej! Ty, zaczekaj! Pomóż wyleźć, pomóż zarazo, pomóż...

Chrypiał jeszcze gajowy długo, lecz cicho było, tylko śnieg czasami z drzewa spadał. Jakoś się jednak — po tym chojaku — na wierzch wygramolił. Gałąź sobie wyłamał, podpierając się nią dowlókł się do wyrębu. Stamtąd światło na drodze zobaczył, zachrypiał. Leśniczy z latarnią przyszedł, na sanie go załadowali, powieźli.

W domu wódki mu żona dała i pod pierzynę. Coś tam jeszcze w nocy gajowy z milicjantem i leśniczym radzili, nie bardzo wiadomo o czym, dosyć, że rano do Rudnika milicjant zaszedł na wywiad.

Stary był w domu i zupę sobie na śniadanie gotował. Milicjant torebkę papierową do oczu podniósł. — Zupa grzybowa, ekstra — przeczytał. — To wy, Rudnik, zupę z proszków jadacie? — Ano jem. — A o gajowym nie słyszeliście? — A co miałem nie słyszeć? — Tak mu Rudnik skąpymi zdaniami odpowiadał, że owszem, o gajowym wie, bo mu Drobowej mała mówiła, lecz nikt go do szukania nie wołał, a zresztą on stary, dużo by im tam nie pomógł, a wczoraj jeszcze reumatyzmy jakieś go brały, tak, że w betach leżał, grzał się. Że co, czy on o niczym więcej nie wie? No pewnie, że nie, skąd by mógł wiedzieć?

Jak tylko się gajowemu noga naprawiła, jeszcze raz na Rudnikową chałupę najście było. Milicjantów trzech przyszło, całą chatę i oborę do góry nogami przewrócili, kartofle w piwnicy porozrzucali, w piec świecili, nawet psiej budzie spokoju nie dali. Straszyli starego mocno, że o jego sztuczkach wszystko wiedzą i tym razem to go mają. Stary za nimi po obejściu chodził, we wszystkie kąty wraz z nimi zaglądał, jak by sam był ciekaw, czy czego nie znajdą. Nic jednak poza kilkoma zwojami drutu nie znaleźli. Drut zabrali, chłopu grozili, że tu jeszcze wrócą i pojechali.

A o Rudniku, jak dawniej, mówią we wsi sidłacz i jeszcze się z gajowego śmieją.

NOCNA AKCJA

Zbigniew Sławian Orliński

WZDŁUŻ szosy Szczebrzeszyn-Radecznica rozłożyła się duża wieś Żrebce, zasiedlona już wtedy niemieckimi kolonistami, uzbrojonymi i zorganizowanymi na wzór wojskowy. Koloniści składali się z Niemców i Volksdeutschów przywiezionych z Wołynia, okolic Leningradu, krajów nadbałtyckich, a także z Besarabii, Bośni i Serbii. Nie trzeba chyba dodawać, że przy każdej okazji olbrzymia większość z nich przejawiała nie tylko wrogi, ale i bestialski stosunek do Polaków. Postanowiliśmy więc przeprowadzić wypad na wieś, aby ukarać co bardziej butnych przedstawicieli Herrenvolku, a przy okazji uzupełnić nasze zaopatrzenie.

Biwakowaliśmy wtedy w podziemnych bunkrach w lesie nad Hosznią Ordynacką, zwanych wówczas „IV fortem'. Zadanie nie było łatwe, gdyż okoliczne wsie — Sułów, Sułówek, Tworyczów, Kitów, Deszkowice, Rozłopy, Szczebrzeszyn i Brody Duże — były także dość gęsto nasiedlone Niemcami. A Niemcy z Brodów Dużych szczególnie wsławili się w pierwszych akcjach policyjnych przy wysiedlaniu ludności polskiej.

Termin akcji ustalono na wieczór 4 grudnia 1943 r. Zmobilizowaną do pełnego stanu kompanię miał poprowadzić por. „Elski", który pochodził właśnie z tych stron. Wydzielono grupę uderzeniową pod dowództwem komendanta „IV fortu", por. „Zapory". Grupa ta miała wpaść do wsi przed rozpoczęciem ataku, odciąć wartownię i nie dopuścić do interwencji zgromadzonych tam Schutzmanów. Resztę kompanii podzielono na pododdziały, z których każdy otrzymał własne zadanie. Ja byłem dowódcą pierwszego pododdziału, który składał się z chłopców „IV fortu" oraz zmobilizowanych partyzantów z placówki Latyczyn pod dowództwem kaprala Władka Orłowskiego.

Chociaż nie było jeszcze śniegu, ciął zimny wiatr, ziemia była zmarznięta. Chłopcy żartowali, tylko Ormianie, partyzanci radzieccy, którzy dołączyli do naszej kompanii już znacznie wcześniej, szli milczący, uśmiechnięty był tylko — jak zawsze — podoficer „Haik". Było już ciemno, gdy osiągnęliśmy pozycje wyjściowe. Przypadając do ziemi, tyralierą okrążaliśmy wieś. Sygnałem do natarcia miał być wystrzał por. „Zapory" z pistoletu, oznajmiający odcięcie wartowni. Wilczym chodem lub czołganiem podciągaliśmy coraz bliżej zabudowań. Razem z nami szedł przewodnik ze wsi. Tuż obok mnie kroczył zawsze flegmatyczny „Grisza", także Ormianin, oraz strzelec „Gałka". „Haik" był ze swoją grupą.

Nagle ktoś wystrzelił w naszym kierunku. Prawdopodobnie któryś z hitlerowskich strażników dostrzegł coś podejrzanego. Nasi partyzanci przypadli do ziemi. Ale porucznik „Elski" dał rozkaz otwarcia ognia. Rozpoczęła się gwałtowna strzelanina, gdzieś odezwał się karabin maszynowy. Nie byłem zachwycony sytuacją. Przeciwnika nie widać, nie wiadomo, co się dzieje z grupą uderzeniową, właściwie do kogo strzelać? Zerwałem się z ziemi i krzyknąłem na cały głos:

— Chłopcy — za mną!!...

Kilkanaście sekund później byliśmy już we wsi. Przewodnik wskazuje wysoki, murowany dom, następnie inne, zgodnie z ustaloną wcześniej kolejnością. Chłopcy obskakują wskazywane obiekty. Na niebie rozpryskuje się kolorowa rakieta. Usiłuję kolbą wyważyć drzwi murowanego budynku, ale nie ustępują. Wzywam tych, którzy są wewnątrz, do poddania się, ale nikt nie odpowiada. Strzelanina we wsi wzmaga się, kule gwiżdżą, właściwie nie bardzo wiadomo, gdzie swoi, a gdzie nieprzyjaciel. Podbiegam pod okno i karabinem walę w ramę okienną. Brzęk rozsypujących się szyb miesza się z moim przekleństwem — kbk rozleciał się na dwie części i właściwie jestem bezbronny.

— „Gałka" — krzyczę — światło!

Jasna smuga ręcznej latarki wśliznęła się przez okno, ale natychmiast zgasła, bo z ciemności rozbłysły wystrzałami niemieckie karabiny i pistolety. W świetle nowej rakiety widzę w rogu podwórka warujący na pokracznych nóżkach ręczny karabin maszynowy „Eola".

— Zbych — wołam co sił — serie w te okna!

Niezawodny „Eol", nie zważając na strzały, wybiega na środek i po kowbojsku, z biodra, wali w okna. Po kilku seriach wołam po niemiecku, aby się poddali — odpowiadają strzałami. Podskakuję do narożnika domu, odbezpieczam granat i skradam się pod okno. Pod butami skrzypi rozbite szkło, jakiś hitlerowiec strzela do mnie z pistoletu maszynowego. Na szczęście chybia. Tuląc się do ściany podchodzę do okna i rzucam granat licząc: dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć...

Nic się nie dzieje! Niewypał? Nagle głośny huk przerywa moje niespokojne myśli. Za chwilę podbiega „Gałka" i znów śmiercionośny prezent leci do środka. Z ciemności wybiega porucznik „Elski":

— Zostawcie ich. Tam! Szybciej!...

Podrywam swoich partyzantów i pędzimy. Tuż za mną mój cień — strzelec wyborowy „Grisza". Już cała wieś rozbrzmiewa strzałami. Dowiaduję się w biegu, że z sąsiednich wiosek przybyli „czarni" z odsieczą dla swoich. A więc „Zapora" w niebezpieczeństwie? Nie orientuję się zupełnie, gdzie są nasi, a gdzie Niemcy. Pocieszam się, że oni są w podobnej sytuacji. Ktoś biegnie wprost na nas. Krzyczę energicznie:

— Stój! Kto idzie?

Nikt nie odpowiada. Jestem raczej opanowany, ale tu nie czas na savoir vivre.

— Stój, bo będę strzelał!

— Swój, swój — pada wreszcie polska odpowiedź.

Co za czort — myślę — jeśli swój, to zna hasło. Czemu nie podaje go? Tego dnia, jak zwykle w walkach nocnych i na terenach zabudowanych, obowiązywało hasło liczbowe. Dzisiaj „dwadzieścia jeden". Na pytanie o hasło należało odpowiedzieć jakąkolwiek liczbą mniejszą od 21, a odzew stanowiła liczba uzupełniająca do 21, np. hasło 3 — odzew 18, hasło 14 — odzew 7.

— Stój! Siedem! Hasło?

— Swój, Sewer...

Stoję niezdecydowany. Co za Sewer, do stu diabłów? Partyzanta z takim pseudonimem nie mamy, może któryś z przewodników? Strzelać? Dopuścić go?

— Ostatni raz, hasło!

— No swój, Wache — słyszę.

— Ach so. Na, komm — mówię po niemiecku, ale w tej chwili przypominam sobie, że nie posiadam już karabinka. Wyrywam z kabury pistolet i kilkakrotnie naciskam języczek spustowy. Jednocześnie dwa erkaemy walą w ciemność.

Wachmann pada. Gdy dobiegam do niego, podnosi karabin i celuje mi prosto w pierś. Łapię za lufę, a w tym samym ułamku sekundy flegmatyczny zwykle „Grisza" tygrysim skokiem dopada Niemca i strzela mu w łeb.

— Maładiec — dziękuję. — Zrewiduj go i zabierz dokumenty. — Później okazało się, że był to renegat, przedwojenny polski podoficer Cerner, co zrozumiałem jako Sewer.

Z boku wypada potężna, dobroduszna postać „Haika". Najpierw biegnie, potem nagle staje, jak by zdziwiony patrzy na nas i bezwładnie osuwa się na ziemię. Podbiegam do niego. Porusza ustami, ale nie może nic powiedzieć. Jego czarne, zawsze wesołe oczy gasną. Szukam rany. Dostał z pobliskiej stodoły postrzał w pachwinę. Partyzanci biorą go na ręce, ale zanim zanieśli pod zabudowanie — skonał. Otaczamy stodołę, ale na wezwania do poddania się znów nikt nie odpowiada, postanawiam jednak, że nie odejdę, dopóki nie pomszczę „Haika". Obstawiam ją z dwóch stron karabinami maszynowymi i wskakuję w ciemne wrota. Wzywam do poddania się, grożę spaleniem stodoły. Nikt nie odzywa się. Każę „Eolowi", przyjacielowi jeszcze ze szkoły podchorążych w partyzantce podhalańskiej, podpalić stodołę i pilnować, aby nikt żywy nie uciekł. Przypomina mi, że komendant zabronił palenia budynków.

— Na moją odpowiedzialność wykonać rozkaz! — odpowiadam.

— Tak jest! — odpowiada „Eol". W tej chwili nadbiega „Zapora". Melduję mu, że za „Haika" kazałem spalić hitlerowca lub hitlerowców w stodole. Raz jeszcze on sam wzywa do poddania się, a gdy nie otrzymuje odpowiedzi powiada:

— Pal!

„Eol" wykonuje rozkaz i za chwilę jest widno jak w dzień. Małomówny starszy lejtnant „Aram" zacisnął usta i przez szparki oczu pilnuje, aby nikt nie uciekł z płonącej stodoły. „Jasza" z erkaemem pilnuje wrót.

Ale płonąca stodoła sprawia, że jesteśmy widoczni dla nieprzyjaciela. Dostajemy z boku ogień z broni maszynowej. Podrywam swoich ludzi i rzucam się na „czarnych", przybyłych z odsieczą. Nie wytrzymują natarcia i uciekają między zabudowania. Zostawiam ubezpieczenie i z resztą przystępujemy do zdobycia następnego domu. „Grisza" powiada, że widział, jak pod słomę w przybudówce wczołgał się esesman. Wpadam tam i krzyczę:

— Die Waffe weg! — I po polsku — Rzuć broń! Wyłaź!

Na czworakach wychodzi rosły dryblas w czarnym mundurze. Najpierw pytam o broń, ale bzykające wciąż kule przypominają, że nie czas na przesłuchania, zresztą „czarny" może się jeszcze przydać. I rzeczywiście, prowadzeni przez niego chłopcy — przy jego czynnej pomocy! — przeprowadzają rekwizycję we wskazanych domach.

W jednym z domów jakaś staruszka zaczyna histerycznie wołać, że tu mieszkają Polacy. Czyżby przewodnik pomylił się? Możliwe i to, a przecież z babami nie wojujemy. Ale ponieważ staruszka nie posiada żadnego dowodu, każę zapalić lampę. Natychmiast rzuca się nam w oczy kabotyńska mina Fuehrera, spoglądającego na nas z wielkiego portretu na honorowej ścianie. W jednej chwili Adolf znalazł się na ziemi, a pod butami zaskrzypiało miażdżone szkło.

— Otwierać kufry!

Volksdeutschka załamywała ręce, piskliwie pochlipując i patrzyła ze zdziwieniem na niemieckie mundury Ormian. Pierwszą rzeczą, którą wyrzucili z kufra, były długie czerwone flagi z białym kołem i swastyką w środku.

— I ty śmiałaś twierdzić, że jesteś Polką? — wycedziłem.

Brzęk szyby i stuk pocisku o ścianę w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowała się moja głowa, gdy nachylałem się do Niemki, przypomniały mi o wrogich snajperach. Czyżby dzisiaj specjalnie uwzięli się na mnie? Biorę przed siebie esesmana i z bronią gotową do strzału wychodzę za nim. Ale na podwórzu są już znowu nasi chłopcy. Wracamy i przetrząsamy mieszkanie, ale broni nie znajdujemy. „Grisza" z pogardą patrzy na leżący na ziemi portret wodza „niezwyciężonej i tysiącletniej" Rzeszy, potem flegmatycznie pluje mu w pysk i mruczy: swołocz.

Wbiega „Elski" i nakazuje wycofywać się. Zabieramy resztki potrzebnych nam rzeczy, zarekwirowanych Volksdeutschom i ładujemy je na wóz, którym powozi Rosjanin „Wania". Szybkim krokiem dopędzamy inne wozy. Na jednym z nich, niczym na katafalku, leżą zwłoki „Haika". Tragiczny, przypieczętowany krwią, ale dlatego trwały i przyjacielski dowód współpracy partyzantów polskich i radzieckich, wspólnej walki z faszyzmem.

Melduję komendantowi wykonanie zadania, po czym dowiaduję się szczegółów całej walki. Grupa uderzeniowa, przedwcześnie zdemaskowana niespodziewaną strzelaniną, musiała rozpocząć akcję nie będąc do niej w pełni przygotowana. W ataku na wartownię ręczny karabin maszynowy Stacha

(Dokończenie na str. 10)

Na czasie

JANUSZ Głowacki to nie jest postać całkiem nowa w młodej literaturze, a szczególnie w publicystyce. Jego reportaże i opowiadania od pewnego czasu zamieszcza dość regularnie „Kultura". Pismo swemu stałemu współpracownikowi zafundowało (nie tak dawno) bardzo piękne i pochlebne recenzje za debiutancki tomik opowiadań „Wirówka nonsensu" (PIW, Warszawa 1968). Takowe ukłony w zamkniętym gronie już mają u nas tradycję, co niekoniecznie jest momentem sympatycznym. Ale w tym przypadku byłbym skłonny puścić tę sprawę w pacht niepamięci, książka Głowackiego bowiem domaga się szczególnej uwagi — jako fakt wykraczający znaczeniem swoim poza opłotki konkretnego środowiska literackiego, co w wypadku debiutów nie bywa u nas zjawiskiem tak znowu częstym.

„Wirówka nonsensu" zajęła mnie osobiście bardziej jako fakt publicystyczny niż artystyczny. Nie znaczy to, iż niemożliwe jest i nieprawidłowe widzenie odwrotne, choć w literaturze Głowackiego wyraźnie znać ślady, dobrej zresztą, publicystyki (czy raczej — reporterki).

Książka ma wielorakie, ale najczęściej pogłębione odniesienia wobec tych zjawisk polskiego życia społecznego, które aktualnie stały się obiektem frontalnego ataku naszej publicystyki — w nawiązaniu do tzw. marcowych wydarzeń.

Przy tym „Wirówka nonsensu" to nie doraźny, byle jak fabularyzowany paszkwil; na kolanie sfabrykowany przez cwaniaka, który nagle obudził się w obrębie koniunkturalnych układów.

Poszczególne opowieści książki zostały napisane w latach 1964—67. Kilka z nich czytałem w „Kulturze". Autor więc podejmował wysiłek ukazywania i racjonalizowania tego, co w swoim czasie umykało potocznej wrażliwości. Dziś trud ten nazwać można szlachetną zdolnością przewidywania.

Nie były to zarazem, i nie są, wielkośrodowiskowe ploty (człowieka, być może, z wewnątrz). Pewno, iż smutny faktograf mógłby w pocie czoła dokopać się jakowychś aluzyj personalnych. Świat opowiadań, szczególnie tych, które mnie najbardziej zajmują, mocno jest osadzony w stołecznych realiach. Wszelako książka Głowackiego dozwala wnioskować nie tylko o konkretnym środowisku, lecz i o tego rodzaju środowiskach w ogóle.

„Wirówka nonsensu" interesuje mnie zatem jako fakt socjologiczny, i to nie tyle jako demonstracja spraw pokoleniowych autora, ile jako rzetelny obraz „społeczności" — młodszych przecie od Głowackiego — bananowców z ich — starszymi od Głowackiego — rodzicielami.

Pośród mnogości modeli w różnych zakresach — dorobiliśmy się też modelu konsumpcyjnego w życiu społecznym. Nad zasięgiem socjalnym owego modelu co poniektórzy wypłakują humanistyczne łzy. Lecz Głowacki, jak to się mówi, sięgnął do źródeł. Rodzimych i, jak to się mówi, odgórnych wzorców.

Czy nosiciele takich wzorców są również między ludźmi, co ongiś „budowali podstawy", a pośród tych ludzi czy są tacy, co teraz zimno dyskontują własny trud za wysokimi progami swoich gabinetów i w luksusowych pieleszach swoich domostw — to nie jest całkiem jasne. Bo to jest w książce jedynie tłem. Kto dygnitarz, kto badylarz?

Głowackiego interesują przede wszystkim potomkowie, którzy jeszcze nic nie zaczęli budować, ale którzy już od początku są dobrze „ustawieni". Przyszli dziedzice ojcowskiego dygnitarstwa, badylarstwa czy sklepikarswa. Bez różnicy. Gdyż szlachetna ta generacja wyznaje swoisty demokratyzm, jeśli idzie o pochodzenie pieniądza. Liczy się sam pieniądz, i wóz (najlepiej zachodni), i koniak wytworny, i ciuch, i FORSA, FORSA. A przy tym elegancko. Zimno. W stylu luksusowych magazynów. Absolutna Europa. Chociaż na zapleczu, gdy trzeba, to i w mordę dać, jeśli zawiodą wszystkie odgórne „dojścia".

Miłość i niemożność miłości, uczciwość i niemożność uczciwości, praca i niemożność pracy — nawet takie konflikty tu nie istnieją. Bo nie istnieją pojęcia miłości, uczciwości i pracy. Konsumpcja totalna określa międzyludzkie relacje. Także te najintymniejsze: „Normalnie. Od razu wiedziałam, że będziecie mnie załatwiać we trzech — powiedziała blada szesnastoletnia".

Konsumpcja staje się metafizyką, sposobem bycia. Czy raczej sposobem brania, gdyż b y ć oznacza tu m i e ć. I w miejscach, gdzie zawiera się ta prawda — Głowackiego interwencja socjologiczna przemienia się w literaturę. Ostro widzącą, z zapleczem szerszych uogólnień i — właśnie tak! — zaangażowaną społecznie.

Autor „Wirówki nonsensu" należy do generacji „pośredniej", która osiąga teraz dojrzałość i wypowiada swoją prawdę. Jest to dobry punkt obserwacyjny. Ów ton rozczarowania wobec ojców i zaniepokojenia wobec młodszych braci coraz częściej pobrzękuje w pisarstwie roczników 35—39 (między którymi, co tu kryć, sam jestem pokoleniowo usytuowany). Nowakowskiego „Zapis", Brychta „Dancing w kwaterze Hitlera", Orłosia „Koniec zabawy", Twerdochliba „Gwiazda sezonu", Głowackiego „Wirówka nonsensu" penetrują różnorakie rejony naszego życia daleko położone od socjalistycznego modelu społeczeństwa i socjalistycznego modelu jednostki.

Może więc zapominamy, iż rewolucja u nas nie skończyła się, gdy zlikwidowano ostatnie bandy podziemia oraz zaprowadzono podstawowe reformy socjalno-ekonomiczne, zapominamy, iż rewolucję trzeba organizować nadal, sięgając przede wszystkim w rejony ludzkiej ś w i a d o m o ś c i? Może zapominamy o tym i może uprościliśmy pewną zasadę, skoro budując ekonomiczne podstawy socjalizmu oraz tworząc podstawy b y t u społeczeństwa, równocześnie dopuściliśmy do wyhodowania drapieżnego i pazernego burżujstwa — wokół siebie, a czasem i wewnątrz nas samych?

Maciej Podgórski

Dwaj z Rzeszowszczyzny

Z RACJI wydanego tomiku poezji Tadeusza Kubasa „Podpromie" chciałoby się pisać nie tylko, a może nawet i nie tyle, o walorach poetyckich zbiorku, ile przede wszystkim o pożytecznej i, jeśli to można tak nazywać, ładnej sprawie edytorskiej, jaka się objawia przy tej okazji.

Choć i w zakresie owych walorów poetyckich może czytelnik znaleźć tu i ówdzie poletka dla siebie interesujące. Więc mimo wszystko zacznę od tego ostatniego momentu i kwestii z tym związanych.

Jest „Podpromie" debiutem książkowym autora (gdy uprzemy się nazywać 30-stronicową, gęsto ilustrowaną broszurę — książką). Drukował, jak głosi nota z okładki, m. in. w „Kulturze", „Życiu Literackim" i „Kamenie". Zwykle tak bywa, że dla debiutanckiej prezentacji książkowej wybiera autor nie ostatnie swoje utwory, lecz w ogóle te, które uznaje za najlepsze dotąd. I zwykle, choć nie zawsze, staje się tak, że trudno w tym „najlepszym" znaleźć jakaś porządkująca, jednolitą zasadę poetyckiego myślenia o świecie. Bo „najlepsze" pochodzi z różnych wycinków i momentów przedksiążkowej kariery autora. Tak jest, jak mi się zdaje, i z poetyckim tomikiem Kubasa. Tymczasem właśnie wiersze opuszczone (na tle prezentowanych, choć często słabsze od nich) mogłyby mówić o owej „zasadzie" i wskazywać na jej rozwój.

Lecz dajmy pokój spekulacjom i, nie szukając jedności, powiedzmy o wielości tej poezji. Jest tu i refleksja nad odwiecznym trudem oraz przemiennością stawania się spraw bytu ludzkiego („Narodzenie", „Dzieciństwo", „Życie", „Przeciw konwencji"), i liryczne przeżycie wycinków krajobrazu, i sensualistyczne odczucie świata, i intymne westchnienie miłosne...

Domyślam się po trochu, że dominującym tonem poezji Kubasa „chce być" filozoficzna niejako zaduma, wychodząca od uniwersalnych motywów człowieczego życia. Lecz tam, gdzie autor bawi się w filozofa, poezja jego wydaje mi się blada, a myśl wątła. Nie każdy od razu może być Norwidem czasu swego.

Kubasowi śmiem proponować dalsze ukonkretnienie spojrzenia — w kierunku obserwacji przedmiotu, w kierunku poetyckiego „zatrzymywania" wycinków krajobrazu. Może to być szkołą dobrego rzemiosła, podkładem dla późniejszej, autentycznej liryki refleksyjnej.

Na razie wiersze Kubasa „biorą" mnie w tych miejscach, gdzie autor przetwarza motywy rzeszowskiej rodzimości w szlachetny kruszec lirycznego przeżycia. To jest dobry kierunek rozwoju. I autor zdaje się tego domyślać, skoro tomik swój zatytułował „Podpromie" (Podpromie to dawniej uboga dzielnica Rzeszowa, dziś zaczynająca być dzielnicą nowoczesnych bloków). Bo wejście do poezji narodu odbywa się często przez furtkę twórczości — w sposób sensowny — regionalnej. I o tym wiedzą także koledzy Kubasa z rzeszowskiego KKMP: Jan Szelc i Andrzej Zabierowski, których twórczość, łącznie z wierszami innych Rzeszowian, prezentowała w tym roku „Kamena" (nr 2).

A gdy idzie o prezentację młodych środowisk twórczych regionu „Kamenowego", to edycja wierszy Kubasa wydaje mi się przykładem dobrej roboty. Mamy nie tylko wiersze prezesa rzeszowskiego KKMP, lecz równocześnie mamy także grafikę Jerzego Sienkiewicza, też mieszkańca owego regionu, nauczyciela i wicedyrektora Liceum Technik Plastycznych w Sędziszowie. Bo tomik poetycki zawiera prawie tyle samo reprodukcji grafiki, co wierszy. Uzupełniają to krótkie biograficzne noty obu twórców. Zaś sama wysokość nakładu (1000 egzemplarzy) niewiele odbiega od przyjętych w tej dziedzinie zwyczajów ogólnopolskich. Reszta jest kwestią sensownego kolportażu.

Wojciech Kurhan

„Podpromie" — Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy przy ZG ZMW, LSW.

Warmiak spod Zamościa

TO WCALE nie będzie recenzja, drogi Panie Antoni *) (proszę wybaczyć ów poufały zwrot). Otrzymałem Pana książkę pt. „Warmiak spod Zamościa", wydaną nakładem olsztyńskiego Pojezierza, z serdecznym listem. Pisze Pan: *Jestem synem podzamojskiej wsi Wierzba. Z tego punktu rozpocząłem moją drogę w 1944 r. i nakreśliłem jej bieg w ciągu dwudziestolecia, najpierw poprzez Zamojszczyznę, gdzie pracowałem jako sekretarz trzech kolejnych gmin wiejskich, a następnie — od roku 1950 przez Warmię, ściślej — przez pracę i stabilizację w Olsztynie, przez szczery sentyment dla uroczej krainy „Tysiąca Jezior" doszedłem do roku 1968, w którym uhonorowałem się mianem „Warmiaka spod Zamościa". Ponieważ dzieje, nakreślone w tej książeczce, bardzo ściśle wiążą się z moją rodzinną Zamojszczyzną, a nawet szerzej — z regionem znacznej części Zamojszczyzny, bardzo cenne dla mnie byłoby zaanonsowanie książeczki na poczytnych łamach „Kameny".*

Muszę wyznać, drogi Panie Antoni, że książkę, którą mógłbym z powodzeniem nazwać dość intymnym pamiętnikiem, przeczytałem „do poduszki" jednym tchem. I po tej lekturze wydaje mi się, że znam Pana lepiej niż niejednego z moich znajomych. Jestem pełen podziwu dla Pana uporu, społecznej pasji, miłości do ludzi, wiary w dobro i sprawiedliwość, która — utwierdza mnie w tym Pańska książka — zawsze musi zwyciężyć.

Z zainteresowaniem śledziłem Pana losy powojenne. Współczułem, kiedy musiał się Pan podjąć niewdzięcznej roli księgowego w „społemowskiej" spółdzielni w Starym Zamościu, wiedząc o księgowości tyle *że Dziennik-Główna jest to taka duża księga z całą masą rubryk i krateczek.* Cóż — w 1945 r. Pana przypadek nie należał do nadzwyczajnych.

A jednak podołał Pan, czego dowodem były późniejsze awanse — najpierw stanowisko p.o. sekretarza w gminie Stary Zamość, a później — już bez p.o. — sekretarza w gminie Tereszpol. Jak niecodziennie przedstawiają się ówczesne kłopoty! Np. przechowywanie gotówki. *Bieżące odprowadzanie do banku* — wspomina Pan — *było niemożliwe. Tereszpol leży prawie czterdzieści kilometrów od Zamościa. Były dnie, że z poboru podatków mieliśmy po cztery i pięć milionów złotych w starej walucie, a kasa stała w gminnej sieni fatalnie rozpruta przez „leśnych" w czasie okupacji. Rada jednak musiała się znaleźć. Wójt dzielił gotówkę na trzy równe kupki. Jedną (ryzykant!) zabierał ze sobą do Szozdów, gdzie mieszkał, drugą dawał mnie, a ja faszerowałem nią ziennik, trzecią zaś Piotr utykał pod strzechą stodoły. Tak było latami. Nie zdarzyło się nigdy, by wójta Franciszka ktoś obrabował w drodze do domu, by Piotrowi gotówkę zjadły myszy lub by mojej porcji przydarzyła się jakaś smutna przygoda, chociaż pierwsze sosny rosły tuż przy ścianie gminnej stodoły, a nieco dalej rozpoczynał się las...*

Po Tereszpolu czekał Pana kolejny awans na stanowisko sekretarza w bogatszej gminie — Nielisz. Zastał Pan tu solidne zaległości, trzeba było zaczynać pracę o ósmej rano, a kończyć około północy. Wspomina Pan: *Obowiązujące normy nie miały wówczas znaczenia, tak jak nie istniały godziny urzędowe. Kiedy widziałem, że twarze bladły, a otępiałe zmęczeniem oczy same się przymykały, przerywałem pracę i inicjowałem... potańcówkę... Przytaszczyłem od siebie „grającą szafę" i gminne biuro przekształciło się w tancbudę... Kiedy już widziałem, że twarze z rumianych robią się buraczkowe — dla wytchnienia inicjowałem kwadrans kawałów... Potem powolutku zabieraliśmy się do roboty... Po każdej takiej kuracji pracowało się jeszcze dwie, czasem trzy godziny, senność znikała.*

Bardzo interesująca jest również Pana rozmowa z wojewodą Pawłem Dąbkiem, który przezwyciężył wszelkie kruczki biurokratyzmu i pozwolił kontynuować w Nieliszu budowę szkoły, wznoszonej społecznym wysiłkiem.

Cóż — należy żałować, że później musiał Pan opuścić Lubelszczyznę. Znalazł Pan szczęśliwe miejsce w Olsztynie, chociaż i tam początki musiały być bardzo trudne. Ale tych, których zaciekawią Pańskie dalsze losy, odeślijmy już do książki, w której wszystko tak sugestywnie Pan opisał.

Jeśli wpadnę kiedyś do Olsztyna, nie omieszkam Pana odwiedzić. Sądzę, że będzie mi Pan mógł jeszcze wiele interesujących historii opowiedzieć, chociaż życiorys Pana jest codzienny i niecodzienny zarazem. Do zobaczenia więc w krainie „Tysiąca Jezior"!

Serdecznie Pana pozdrawiam i gorąco dziękuję za książkę, która dostarczyła mi wiele wzruszeń.

MAJ

*) Antoni Seroka — „Warmiak spod Zamościa", Pojezierze, Olsztyn 1968. Wspomnienia zostały odznaczone trzecią nagrodą na konkursie zorganizowanym w 1964 r. przez „Głos Pracy".

NOCNA AKCJA

(Dokończenie ze str. 9)

„Misia" odmówił posłuszeństwa, a on sam atakował tylko z pistoletem i to wprowadzając za każdym razem jeden nabój do komory, bo magazynek gdzieś się zagubił. Dwa inne karabiny też się zagwoździły w najważniejszej chwili, więc tylko Stefan „Small" walił ze swego visa. „Ostrowski" w ciemności stracił swoje parabellum.

W tak dla nas niefortunnej sytuacji wartownia niemiecka z łatwością odparła pierwszy atak i — zabierając ze sobą jednego rannego czy zabitego — wycofała się w stronę, z której spodziewała się odsieczy. Gęstniejąca strzelanina przekonuje, że ta odsiecz właśnie nadchodzi. Ale nasza kompania już po wykonaniu zadania wycofuje się. Mija mnie właśnie podwoda, powożona przez Białorusina „Aloszę". W tym samym momencie przewraca się na ziemię esesman, którego wziąłem do niewoli i przekazałem jako jeńca „Zaporze". Nie mogę zorientować się od jakiej padł kuli — własnych kamratów, czy też porucznik strzelił mu w łeb. Może to właśnie on chciał się pozbyć uciążliwego jeńca w chwili, gdy podrywał swoją grupę przeciw zbliżającej się tyralierze nieprzyjaciela? Konie ciągnące zdobyczne wozy galopują obok. Uprzytamniam sobie, że wprawdzie poprzednio dowódca kompanii „Elski" nakazał wycofywanie się, ale teraz sytuacja zmieniła się. Usiłuję krzykiem powstrzymać kompanię, ale turkot kół po zmarzniętej ziemi zagłusza mój krzyk. Strzelam więc w powietrze i żołnierze przystają. Mam pod swoją komendą część kompanii, nie wiem gdzie podział się „Zapora" ze swoimi ludźmi. Rozkazuję:

— Bagnet na broń! Tyraliera — naprzód — marsz! W marszu — pojedyńczo — ognia!

Żaden z partyzantów nie zawahał się. Tyraliera „czarnych" gdzieś zapadła. Może nawet wycofała się. Za wsią znów rozbłyskują kolorowe rakiety. Nie ma sensu pchać się w ciemność, przypadamy więc do ziemi. Zajmuję stanowisko na wzgórku, obok karabin maszynowy ze starszym strzelcem „Zającem". Strzelanina wzmaga się z każdą chwilą. Kule bzykają obok i przypomina mi się powiedzonko starszego wachmistrza Życkiego, szefa szwadronu 8 pułku ułanów z kampanii wrześniowej: kuli, która cię trafi, nigdy nie usłyszysz. Odezwał się niemiecki karabin maszynowy, ale po serii naszego erkaemu zamilkł.

Z prawego skrzydła wychodzi druga tyraliera, posuwa się równolegle do nas. Strzelają, ale nie odpowiadamy, nie wiedząc kto to jest. Okazuje się, że to nasi. W centrum pojawia się druga grupa. Tym razem nie ma wątpliwości, że to Niemcy. Idą prosto na nas, ale nie każę strzelać, pragnąc dać czas grupie uderzeniowej na oderwanie się. Gdy nasi są już dość daleko, daję rozkaz: strzelać! Sylwetki wroga szybko nikną w zabudowaniach. Chyba nie odważą się na pościg. Zwijamy tyralierę wycofując się. Po kilkunastu minutach dopędzamy grupę uderzeniową i wspólnie już wracamy do leśnego garnizonu w „IV forcie".

„Haik" został pochowany w młodym lesie nad Hosznią Ordynacką. Pozostało po nim tylko wspomnienie wspólnych walk. I zwycięstwo, do którego się przyczynił, a którego niestety nie doczekał.

Zbigniew Sławian-Orliński

Listy do KAMENY

PISARZE I ŻYCIE

Towarzyszu Redaktorze! Jestem zwykłym szarym człowiekiem. Żyję i czuję jak miliony innych. Też kocham. Też cierpię.

Jak inni, nie żyję tylko dla siebie, lecz pracą codzienną chcę wzbogacić dzień dzisiejszy i zbudować nasze, lepsze jutro.

Nie uzurpuję sobie praw pisarza. Nie wyszukuję słów szumnych i górnych. Zastanawiam się tylko, kto ustanowił te prawa i kto upoważnił tych, którzy do pracy nie wstając o świtaniu, nie znają smaku chleba po codziennej pracy i nie kładą się spać znużeni, ażeby wypowiadali się i pisali o nas, co czujemy i jak żyjemy.

Jakże ci „wybrańcy talentu" mogą pisać o rękach, o pracy — skoro narzędzia w ręku nie trzymają i nie znają rozkoszy wypoczynku po codziennym trudzie?

Co mogą powiedzieć o znużeniu, gdy krzyż zginają tylko po to, by but zasznurować?

Cóż mogą powiedzieć o zimnie? — nie stojąc godzinami na mroźnych przystankach — lub o słońcu, które parzy plecy schylone nad zagonem, skoro znają go tylko z plaży lub z leżaków opalając się „w myśl zaleceń lekarzy".

Co wiedzą o zaduchu i omdleniach w zatłoczonych autobusach wiozących ludzi z pracy w upalne letnie popołudnia, gdy sami siedzą za kierownicami luksusowych aut.

Skąd mogą znać prawdziwy zapach kwiatów, zapach wsi i miasta, zapach wody, ziemi i powietrza — skoro uwędzeni są w kawiarnianych oparach i kuchennych aromatach restauracji.

Jak mogą usłyszeć śpiew ptaków, szum wiatru, muzykę traw, zbóż i lasu skoro ich słuch przytępiły łzawe tanga kabaretów i wrzaskliwe bigbity.

Jakżeż ci, którzy może z nas wyrośli, mogą pisać o tym, co czujemy, jak żyjemy, gdy ich życie daleko od nas odbiegło, gdy już nie znają tych zwykłych codziennych spraw, gdy wyszukują wzniosłych słów patriotycznej pozy, wstydząc się matki, która ziemię orze i ojca, co po pracy zmywa brud z twarzy i utrudzonych rąk.

Wzywam Was, którzy mienicie się przewodnikami naszych dusz, przyjdźcie do nas, aby poznać nasz język, nasze słowa, które są wszystkim zrozumiałe.

A. J.
SANDOMIERZ

OD REDAKCJI. Drukujemy ten list naszego Czytelnika, aczkolwiek jego obraz „wybrańców talentu" wydaje się nam bardzo subiektywny. Osobiście znamy bowiem literatów, którzy, „godzinami stoją na mroźnych przystankach", jeżdżą w zatłoczonych autobusach i nie cierpią ani kawiarnianych oparów ani wrzaskliwych big-beatów. Nie zmienia to jednak faktu, że dobrych powieści współczesnych jest ciągle zbyt mało.

„W KRAŚNIKU FABR. OMNIBUS ABSOLUTNY"

Artykuł M. Podgórskiego w 12 numerze „Kameny" sprowokował mnie do zabrania głosu. Otóż, po pierwsze, przedstawiona placówka w Kraśniku nie jest odosobniona jeśli chodzi o tak „bogaty" profil działania. Wszystkie zakładowe domy kultury są omnibusami, bo niejednokrotnie zmusza je do tego sytuacja. W przeciwieństwie więc do M. Podgórskiego uważam, że program ich jest dobrze pomyślany. Właśnie ta wszechstronność form pracy kulturalnej pozwala im na szerokie oddziaływanie. Przecież gdyby nie taki właśnie szeroki program, to na przykład w Pionkach obywatele tego miasta nie mieliby co robić z wolnym czasem, bo przecież kino nie wyczerpuje całego. A co miałaby robić młodzież? W Pionkach nie ma żadnego innego domu kultury — MDK czy PDK, nie ma też żadnej większej placówki kulturalnej poza kinem. Rozumiem, że tam, gdzie istnieje PDK, to ZDK powinny przyjąć jakieś bardziej wyspecjalizowane i związane z zakładem pracy formy działalności. Ale gdzie indziej, w miejscowościach takich jak Pionki, nie powiatowych — niech będą omnibusami! Oczywiście, odpowiednio zaopatrzonymi w sprzęt, a więc w fundusze — nie tylko zakładowe, a przede wszystkim w mądre głowy.

Kreślę wyrazy szacunku

Jerzy Mączyński
RADOM

PONIATOWA ZAPRASZA

Czytuję w „Kamenie" m. in. „Listy do redakcji" i widzę, że dotyczą one różnych spraw, nie tylko kulturalno-społecznych, zdarza się nawet prośba o interwencję. Otóż ja właśnie za waszym pośrednictwem chciałbym zapytać odpowiednie władze, kiedy wreszcie w Poniatowej będzie można przejść wieczorem ulicą, nie narażając się na chamskie słowo czy ręczną zaczepkę? Jasne, przemysłowe miasteczko to nie raj, ale znam dobrze wiele miast o takim właśnie charakterze i przyznaję, że nigdzie nie ma tylu burd i niepokojów, co w Poniatowej. Niedawno w „Kurierze Lubelskim" przeczytałem laurkę o Poniatowej, jakie to piękne i dynamicznie rozwijające się miasto. Prawda, mamy sukcesy — nowe budownictwo, przemysł — ale nie mamy spokoju. Może więc ktoś z redakcji „Kameny" odwiedzi nasze miasto i spojrzy uważnie na wszystkie jego sprawy, nie tylko na dobre, ale i na złe. Macie w piśmie stały cykl „Miasto na dłoni", sądzę, że Poniatowa może znaleść się w nim z powodzeniem. Zapraszam, zapewnię obstawę!

Pozdrawiam

Robert Olszewski
PONIATOWA

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

● Rada Główna Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa wysoko oceniła i zatwierdziła dzieła do realizacji projekt upamiętnienia byłego międzynarodowego obozu koncentracyjnego w Boguszach (pow. grajewski). Projekt opracowali białostoccy architekci, obejmuje on m. in. budowę pomnika oraz zagospodarowanie terenu. Rozpoczęcie robót nastąpi w drugim półroczu 1969 r. Całość zostanie oddana do użytku w r. 1970.

◆

● W białostockim salonie ZPAP otwarto wystawę prac malarskich Jerzego Łabanowskiego. Jest to ten rodzaj malarstwa, które nie rezygnując z komunikatywności wobec szerszego kręgu odbiorców, potrafi równocześnie twórczo korzystać z dorobku współczesnej myśli plastycznej.

◆

● Z racji wojewódzkiego przeglądu chórów, zorganizowanego w ramach Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Żołnierskiej, 26.V. w Teatrze im. Al. Węgierki odbyła się konfrontacja najlepszych chórów Białostocczyzny. Pierwsze miejsce uzyskał chór Akademii Medycznej pod dyr. Józefa Sieberta.

◆

● Z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy w Ciechanowcu, rodzinnym mieście polskiego uczonego-rolnika Krzysztofa Kluka, otwarto wystawę książki rolniczej, którą urządziło Przedsiębiorstwo Wydawnictw Rolnych i Leśnych przy współudziale „Domu Książki". Wystawa prezentuje dorobek Wydawnictwa z ostatnich lat. Równocześnie odbyły się w Ciechanowcu występy artystyczne i otwarto wystawę maszyn rolniczych.

KIELCE

● Uroczyście zainaugurowano na Kielecczyźnie obchody Święta Ludowego. W kilkudziesięciu miejscowościach odbyły się otwarte zebrania kół ZSL oraz akademie i wieczornice. W obchodach brały udział liczne zespoły artystyczne, m. in. — znana „Opoczniankа", Zespół Wojska Polskiego z Warszawy i zespół z Zakładów Metalowych im gen. Waltera z Radomia. Centralne obchody wojewódzkie odbyły się w Ciepielowie (pow. lipski).

◆

● Przykładem dobrego organizowania spraw kultury pośród załogi dużego zakładu pracy jest ZMS przy radomskich Zakładach Metalowych im. gen. Waltera. W zakończonym w fabryce VI Turnieju Czytelniczym ZMS uczestniczyło ponad 1200 osób. Turniej wygrała tegoroczna młodzieżowa bohaterka roku — Jadwiga Skałbania.

◆

● Piękne wyniki dała na Kielecczyźnie młodzieżowa zbiórka na Centrum Zdrowia Dziecka. 30.V. w Wojewódzkim Oddziale Banku Spółdzielczego w Kielcach sztafety uczniowskie ze wszystkich powiatów złożyły meldunki o rezultatach akcji. Ogółem przekazano 256 tys. złotych.

◆

● Podczas koncertu Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Kielcach wystąpił młody, bo 22-letni, ale już znany skrzypek Konstanty Andrzej Kulka, laureat I nagrody Międzynarodowego Konkursu Muzycznego w Monachium (wrzesień 1967 r.). Wirtuoz wykonał Koncert skrzypcowy d-dur Paganiniego.

LUBLIN

● W WDK obradował w dniach 27—28 maja I ogólnopolski zjazd twórców ludowych. W trakcie obrad wybrano władze Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Wygłoszono też referaty związane z twórczością ludową. Uczestnicy odbyli spotkania z czytelnikami w różnych miejscowościach województwa. W hallu WDK zainstalowano wystawę współczesnej sztuki ludowej i współczesnego pisarstwa ludowego, a także kiermasz książek Wydawnictwa Lubelskiego. (O zjeździe napiszemy obszerniej w najbliższym numerze „Ziemi i Pieśni").

◆

● Gromadzki Komitet FJN w Krasnobrodzie, Powiatowy Komitet FJN w Zamościu oraz redakcja „Sztandaru Ludu" zorganizowały 25.V. Wielki Festyn Ludowy w Krasnobrodzie. W programie m. in. pokazy mody przygotowane przez WZGS i lubelską „Grację", występy Orkiestry Włościańskiej im. K. Namysłowskiego, „Szopka krasnobrodzka" pióra red. Mirosławy Knorr oraz „Stare i młodzie — nowe rytmy".

◆

● W galerii Pałacu Małachowskich w Nałęczowie otwarto wystawę rysunków i malarstwa Jeremiego Królikowskiego. Na wystawie artysta zaprezentował rysunki i obrazy motywów architektonicznych Kazimierza Dolnego, Nałęczowa i Puław oraz pejzaże z miejsc pobytu Stefana Żeromskiego na Kielecczyźnie.

◆

● Goszcząca często w Lublinie Beata Artemska, tym razem wystąpi w roli reżysera komedii muzycznej J. Talarczyka do libretta Zeydlera-Zborowskiego „Muszę mieć męża". Spektakl odbędzie się na deskach Teatru Muzycznego.

◆

● W Dniach Oświaty, Książki i Prasy przyznano Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski: red. red. Stefanowi Ziemnickiemu (PAP), Oldze Gancarz i Stanisławie Gogołowskiej („Sztandar Ludu") oraz Złoty Krzyż Zasługi — red. Lesławowi Gnotowi („Kurier Lubelski"). Gratulujemy serdecznie naszym kolegom.

RZESZÓW

● Najważniejszym wydarzeniem tegorocznych „Dni Rzeszowa" była 3-dniowa (1—3.VI.) sesja popularnonaukowa poświęcona twórczości Stanisława Piętaka pochodzącego, jak wiadomo, z Rzeszowszczyzny. Sesję przygotował Zakład Historii Literatury WSP razem z Towarzystwem Przyjaciół Nauk z Rzeszowa. Zaprezentowano m. in. referaty o twórczości pisarza. Na zakończenie odbył się wyjazd uczestników do Wielowsi, rodzinnej miejscowości Piętaka, gdzie nastąpiło spotkanie z miejscową społecznością oraz zwiedzanie izby pamiątek pisarza.

◆

● Również w ramach „Dni Rzeszowa" 1.VI. w Teatrze im. Wandy Siemaszkowej uroczyście zainaugurowano VII Rzeszowskie Spotkania Teatralne. Wystawiono „Kosmogonię" Jarosława Iwaszkiewicza (Teatr im. J. Słowackiego z Krakowa) oraz „Życie snem" Pedro Calderona de la Barca (Teatr Polski z Wrocławia).

◆

● Trwają w pełnym toku roboty zabezpieczające skarpę wschodnią i podziemia Sandomierza. Zasypano już kilkasetmetrowe kondygnacje lochów i korytarzy. W ten sposób powstaje teren atrakcyjny i możliwy do użytkowania dla turystów. Planowany szlak turystyczny będzie prowadził od Bramy Opatowskiej do kamieniczki Oleśnickich i ratusza, gdzie w piwnicach ma być zainstalowana kawiarnia.

◆

● Z inicjatywy Zarządu Wojewódzkiego Ligi Kobiet dnia 28.V. odbyła się w Rzeszowie narada kierowniczek powiatowych i miejskich bibliotek publicznych województwa. Narada poświęcona była problemom kształtowania postawy obywatelskiej kobiet, sprawom wychowania dzieci i młodzieży oraz kwestiom upowszechnienia czytelnictwa.

Słownik poprawnej końszczyzny (II)

Ryszard Podlewski

ENTUZJAZM prawdziwych miłośników koni po ukazaniu się pierwszego odcinka tego skromnego Słownika jest mi bardzo miły.

„To bardzo potrzebny koń-cik" — pisze czytelnik z Jędrzejowa (gdzie „Kamena" nie dociera!) a korespondentka z Radomia (sic!) postuluje, by miłośnicy koni jadali do mięs manifestacyjnie tylko „kopytka". Akceptuję.

Ogłaszam też natychmiast Wielki Koń-kurs na zbieranie dowodów w życiu współczesnym i historii, iż koń był i jest Polakowi niezbędny. Koń-solidujemy się koń-kretnie. Koniom wszelkiej maści podsuwajmy najlepsze koń-ski strawy, by były nam zdrowe. Nie odmawiajmy rżącym czworonogom koń-fitur, konio-pi ni koń-centratów pomidorowych! Działamy tutaj jawnie, nie w koń-spiracji, przeciw wszelkim końszachtom zwolenników bezdusznych, hałaśliwych traktorów, które wypierają z naszych „pól zielonych", pełnych koni-czyny, naszych arabskich, angielskich i mierzynowatych przyjaciół. Cieszymy się, że w szkołach obowiązkową lekturą są najpiękniejsze opowiadania naszych pisarzy jak „Łysek z pokładu Idy" oraz „Nasza szkapa". Lansujemy dziś prócz wymienionej już Kuni-ckiej, także Krystynę Konia-rską i Zofię Kuc-ównę. Wraz z nadejściem wiosny wąchamy zbiorowo jedynie koń-walie!

Koń-templacja rozgwieżdżonego nieba niech ukazuje nam najpiękniejsze koń-stelacje gwiazd: Wielki i Mały Wóz.

Jeśli wycieczki turystyczne to tylko do miast: Konin i Koń-skie, zaś zagraniczne do Koń-ga i Koń-stantynopola, gdzie odwiedzamy zaraz także naszych koń-sulów.

Z filmów Słownik poleca włoski: „Wał-konie", oraz telewizyjną serię „Koń który mówi", może być ewentualnie „Francis — muł" — bo to kuzyn. Z bajeczek „Osiołkowi w żłobie dano" — to też krewny, a nigdy za późno z osioł-daniem konia.

Tyle na dziś. Walczmy z koń-kurencją maszyn. Ten koń-flikt musimy wygrać, ku chwale zwierzęcia, z którego spadały całe pokolenia Polaków. Czekajcie na koń-tynuację Słownika.

„Kochajmy się" czyli o białostockich „Kontrastach"

JESZCZE przed trzema laty dyskutowałem z sekretarzem KW PZPR w Białymstoku, Witoldem Mikulskim. Rozmowa była szczera, ale wcale nie toczyła się gładko. Mnie chodziło o uzyskanie subwencji na redagowanie „Kameny", która była wówczas dotowana przez wydziały kultury prezydiów rad narodowych Lublina, Kielc, Rzeszowa i Białegostoku, natomiast władze białostockie były zainteresowane wydawaniem własnego periodyku — „Kontrastów". Bliższa ciału koszula, nic więc dziwnego (dziś lepiej zdajemy sobie z tego sprawę), że nie mogliśmy wówczas znaleźć wspólnego języka. Chodziło po prostu o pieniądze, których za wiele Białystok nie miał. Przeznaczono je na „Kontrasty". W grę wchodziły zapewne i miejscowe ambicje, czemu dziwić się nie należy, a co trzeba raczej pochwalać...

W 1966 r. „Kamena" została przejęta przez RSW „Prasę", a w 1968 r. ten sam los wygrały i białostockie „Kontrasty", które z nieregularnie ukazującej się jednodniówki przekształciły się w kwartalnik. Dwutygodnik nie stanowi dla kwartalnika konkurencji, zresztą życie wykazało, że oba pisma mogą na Białostoczczyźnie znaleźć czytelników, tym bardziej, iż ich profil nieco różni się od siebie. Tak więc staropolskie „Kochajmy się" możemy wyciągnąć z drukarskiej kaszty, a jeśli w przyszłości i pokłócimy się nieco, będzie to tylko rodzinny zatarg, który jeszcze bardziej naszą przyjaźń utrwali.

Leży właśnie przede mną drugi numer „Kontrastów". Otwiera go artykuł Ludwika Ochockiego pt. „Postęp i kultura", zawierający wiele interesujących danych. Wydatki na kulturę były na Białostoczczyźnie w 1967 r. o 32 proc., tj. o 15,8 mln zł wyższe niż w 1966 r. Rozpoczęto budowę nowych zakładów poligraficznych, zainstalowano nowe urządzenia radiowe umożliwiające transmisje programu I i II na falach ultrakrótkich, o 4,7 proc. wzrosło czytelnictwo czasopism i gazet, przybyło 14 tys. abonentów telewizji, o 11,6 proc. zwiększyła się liczba widzów w teatrach, ukazały się nowe książki dziennikarzy, pisarzy i naukowców białostockich.

Oczywistą prawdą jest to — przypomina L. Ochocki — *że rozkwit kultury możliwy jest tylko wówczas, gdy ma ona stałych odbiorców i gdy krąg tych odbiorców stale się rozszerza. Taki stan obserwujemy aktualnie w województwie.*

Z innych materiałów zwraca uwagę dyskusja o sztuce ludowej. Zabierają głos Włodzimierz Pawluczuk, Barbara Kiestenis-Studzińska, Zygmunt Ciesielski i Kazimierz Uszyński. Tę dyskusję można poniekąd traktować jako uzupełnienie tych głosów, które rozległy się w Lublinie w trakcie konstytuowania się Stowarzyszenia Twórców Ludowych.

Zainteresowała mnie również praca Ludmiły Lebiedzińskiej poświęcona freskom z Supraśla (tym bardziej, że o tym miasteczku pisaliśmy ostatnio dwukrotnie na łamach „Kameny"), a także projekty białostockich architektów, którzy zastanawiają się nad przyszłością zabudowy miasta. Oto np. Wiesław Bujnowski wypowiada się za układem przestrzennym miasta-ogrodu, w którym najmniejszą jednostką jest dom mieszkalny o kubaturze ok. 200 tys. m sześc. dla 3 750 osób powiązany z zielenią. Dom ów zaprojektowano w kształcie pierścienia o średnicy ok. 400 m. Wysokość — ze względu na bezpośrednie powiązanie z terenem — tylko 4 kondygnacje i jedna kondygnacja techniczna (garaże, instalacje). Wnętrze otoczone domem pierścieniowym mieści ogrody działkowe, przedszkole i inne drobne formy rekreacji.

„Kontrasty" zamieszczają również opowiadania (wiele krótkich form) i wiersze. Jeśli chodzi o te ostatnie miałbym zastrzeżenia: wydaje mi się, że nie powinno się jednego autora prezentować na różnych stronach. Osobiście wypowiedziałbym się za dwoma, trzema wierszami jednego poety, uzupełnionymi sylwetką autora. Białostocka piosenka mogłaby zaś mieć rzeczywiście miejscowy koloryt. Utwór pt. „Dał mi wszystko w polnych kwiatach" z powodzeniem mógł powstać i w woj. zielonogórskim.

Kolejna sprawa to... język. Rażą u M. Gnatowskiego takie dziwolągi jak np. „nie przekonywująco" zamiast „nieprzekonywająco" lub „nieprzekonująco", a u L. Mojsiejuka germanizm w rodzaju „miało miejsce". W kwartalniku, gdzie przecież nie ma pośpiechu, trzeba być szczególnie wyczulonym na dobrą polszczyznę.

I wreszcie denerwują mnie przerzuty. Przy tego typu formacie powinno ich być jak najmniej.

Końcowa uwaga to już bardziej „pro domo sua". „Kamena" chętniej zamieszczałaby więcej materiałów z woj. białostockiego. Niestety, w redakcyjnej teczce poza artykułem St. Świerada, który czeka na swoją kolejkę, nie mamy dosłownie nic. „Konstrasty" ukazują się cztery razy w ciągu roku, „Kamena" — 26. Redakcja wysyła listy, zaprasza do współpracy. I co? Cisza. Po lekturze „Kontrastów" owa cisza jest dla nas zupełnie niezrozumiała.

(maj)

KSIĄŻKI NADESŁANE

„CZYTELNIK"

Aleksy Tołstoj — Droga przez mękę, Tom I, II, III, tłumaczył Władysław Broniewski, Warszawa 1967, wydanie IX;

Aleksy Tołstoj — Piotr Pierwszy, Tom I, II, III, tłumaczył Andrzej Stawar, Warszawa 1967, wydanie VII;

Mieczysława Buczkówna — Drugi Wojtuś, ilustrował Andrzej Strumiłło, Warszawa 1967, wydanie I;

Mieczysława Buczkówna — Najwyższa góra, ilustrował Andrzej Strumiłło, Warszawa 1967, wydanie I;

Janina Porazińska — Pamiętnik czarnego noska, ilustrował Adam Kilian, Warszawa 1967, wydanie II;

Andre Maurois — Życie Aleksandra Fleminga, przełożyła Maria Wisłocka, Warszawa 1967, wydanie III;

Adam Mickiewicz — Dziady, część III, lektura szkolna dla klasy X, Warszawa 1967;

Jerzy Harasymowicz — Wybór wierszy, Warszawa 1967, wydanie I;

Natalia Dawydowa — Całe życie i jeszcze dwie godziny, tłumaczyła Janina Dziarnowska, Warszawa 1968, wydanie I;

Maria Dąbrowska — Noce i dnie, w 5 tomach, Warszawa 1968, wydanie XVI;

WYDAWNICTWO LUBELSKIE

Monika Warneńska — Podziemny trop, wydanie I;

Jerzy Markiewicz — Nie dali ziemi skąd ich ród — Zamojszczyzna 1942—1943, wydanie I.

LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

Stanisław Strumph Wojtkiewicz — Noc nad Omylną, opowieść z roku 1945, wydanie I;

Edmund Pietryk — Szczerbate koleiny, wydanie I;

Barbara Kocówna — Polskość Conrada, wydanie I;

Józef Ozga-Michalski — Ściernisko, wiersze, wydanie I;

Zygmunt Wójcik — Kochany, wydanie I.

AMBASADA FRANCUSKA W WARSZAWIE

Jean Queval, Essai sur Raymond Queneau, bibliographie, portraits, fac-similés, Editeur Pierre Seghers;

Paul Eluard — Capitale de la douleur, suivi de l'amour la poésie, préface de André Pieyre de Mandiargues, Editeur Gallimard;

Philippe Sollers — Francis Ponge, choix de textes, bibliographie, portraits, fac-similés, Editeur Pierre Seghers.

W planie na rok 1975 — 8000 studentów!

(Dokończenie ze str. 8)

— Czy WSI współpracuje z Wyższą Szkołą Pedagogiczną w Rzeszowie?

— Owszem, utworzyliśmy nawet kolegium rektorów — ja jestem przewodniczącym. W dziedzinie naukowej za wiele sobie nie można w tej mierze wyobrazić z uwagi na zupełnie odmienne profile obu szkół. Obiecujemy sobie natomiast bardzo dużo po przyszłym osiedlu mieszkaniowym, które dla obu uczelni zlokalizowano wspólnie. Konkretnie chodzi nam o to, by studenci WSP działali aktywizująco na życie społeczne studentów WSI, bo wiadomo, że w tych sprawach humaniści są na ogół bardziej prężni niż technicy.

— Na koniec pytanie dotyczące osobiście Pana Rektora. Czy Pan jest rzeszowianinem?

— Myślę, że mogę powiedzieć „tak". Urodziłem się we Lwowie i tam ukończyłem studia, lecz od roku 1944 przebywam w Rzeszowie i wrosłem już w to miasto. Na WSI prowadzę Zakład Konstrukcji Maszyn.

Rozmawiał R. W.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: Mirosław Derecki (redaktor techniczny), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyki) i Romuald Wiśniewski.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7, tel. 234-49

Korespondencję prosimy kierować na adres Lublin 1 skrytka pocztowa 131

Zam. 1919. 5.VI.1968. C-6.

Z ŻYCIA WZIĘTE

Opowieści niezwykłe

NASZA telewizja wzięła się ostatnio do odkurzenia kilku przedpotopowych opowiadań z dreszczykiem i od czasu do czasu raczy nas facecją, która zamiast dreszczu wywołuje uśmiech pobłażania dla obsesji naszych dziadków. Telewizja szuka daleko, a tymczasem obok nas, w zasięgu nieledwie ręki, dzieją się rzeczy tak niesamowite, że na myśl o nich włos się automatycznie jeży i kolana drżą jak waniliowa galaretka.

Przykłady? Oto pierwszy z brzegu. Na początku maja przyjechał do Polski dziennikarz z holenderskiego pisma „De Gelderlander", redaktor Hen Bollen. Był on w naszym kraju wszystkiego trzy dni, jeśli nie liczyć tego, że pierwszy dzień trwał tylko od piątej po południu, w drugim dniu zaś nasz gość spędził dwie godziny na meczu Polska — Holandia, po czym następne dwie zajęło mu pisanie i przekazywanie sprawozdania do swej redakcji. Niech będą jednak trzy dni. Po jego wyjeździe w „De Gelderlander" ukazało się dziesięć reportaży. Ten jeden fakt wystarczy, by się przekonać, z kim mieliśmy do czynienia. Znam wypadki, że dobrzy dziennikarze spędzają w obcym kraju dziesięć dni i piszą tylko trzy materiały, zastrzegając się przy tym, że obserwacje w nich przekazane są powierzchowne. Redaktor Hen Bollen był więc niezwykłym redaktorem. Zresztą potwierdza to lektura jego reportaży. Można by na ich podstawie napisać całą serię opowieści niezwykłych, stworzyć filmy, które pobiłyby wszelkie rekordy sensacyjności.

Nie wierzycie? No to posłuchajcie!

Niezwykłe wydarzenia zaczęły się z chwilą, gdy nasz Holender przybył na lotnisko warszawskie. Polski celnik załatwił go w pierwszej kolejności. Wzbudziło to uzasadnione podejrzenie gościa. Drugie podejrzenie wywołał fakt, że nic nie zginęło z walizki, którą kazał sobie pokazać celnik. Ale to był dopiero prolog. Pierwszy akt rozpoczął się w hotelu „Bristol".

„Pracownik recepcji bez ogródek pyta mnie: — Kogo chce pan w Polsce odwiedzić? Patrzę na niego zdziwiony. — Co to pana w ogóle obchodzi? Czy pan jest z tajnej policji?"

Atmosfera już się zagęściła, już zrodziło się coś niesamowitego.

Ale pracownik recepcji jeszcze się nie zdradził. Wyjaśnia, że w wizie widnieje takie pytanie i jego obowiązkiem jest je zadać, by uzupełnić rubrykę.

— „A więc kogo się tylko da — odpowiadam, nie chcąc się w nic angażować. — Czy pójdzie pan do Ministerstwa Spraw Zagranicznych — raczej stwierdza, niż pyta. — A więc to pan wie? Hm, to nie najlepszy znak — mówię popadając po raz pierwszy w niejakie zdenerwowanie".

Przyznajcie się, kto by z was nie wpadł w zdenerwowanie, gdyby pracownik recepcji hotelu holenderskiego zapytał was, czy zamierzacie (będąc z prasą) odwiedzić Ministerstwo Spraw Zagranicznych? Nasz Holender miał już wszystkie dowody w ręku. Wydawało mu się, że zewsząd wpatrują się w niego niewidzialne oczy, że wszędzie czai się tajna policja. Postanawia upewnić się ostatecznie.

„Naśladuję sposób używany zawsze przez Boba Doolaarda w celu stwierdzenia, czy w czasie jego nieobecności nie złożono w jego pokoju niepożądanej wizyty. Wyrywam z głowy parę włosów, układam je w walizce na koszuli oraz na leżącej na stole teczce z wycinkami prasowymi. Nie mam ze sobą linijki, więc kładę na włosy pudełko zapałek. Jeśli włosy niebawem znikną, będę wiedział, że policja przeszukała moje rzeczy..."

Następne trzy strony reportażu poświęcone są opisowi restauracji, w których nasz dzielny Holender zbierał materiały o życiu i problemach Polski. Jak wiadomo, polskie knajpy najbardziej się do tego rodzaju pracy nadają, zwłaszcza że dysponują środkami, które w zależności od potrzeb klientów barwią im świat na różowo lub czarno. Redaktorowi Bollenowi potrzebne były czarne barwy. W jednej knajpie poświęcił swój czas na zapoznanie się z kilkoma fragmentami „Dziadów", w drugiej „przestudiował" sesję Sejmu polskiego, w trzeciej liczył na przemian kolejki wina i podpisy pod studenckimi rezolucjami. Wyprawa zakończyła się u „Fukiera". Nasz bohater nie miał już żadnych wątpliwości. Napisał: „Łagodny zachodni wiatr polskiego października 1956 roku przekształcił się w silny, lodowaty wiatr ze wschodu".

Na tym można by zakończyć pierwszą niezwykłą opowieść, jaką poczęstował swych czytelników redaktor Bollen. W opowieści tej znalazł się jednak szczegół, który psuje trochę pointę i upodabnia całą rzecz do telewizyjnych ramotek. Na samym końcu reportażu jest jednozdaniowy przypisek: „P. S. Włosy w każdym razie były na swym miejscu".

Autorowi tych rewelacji brakowało prawdopodobnie czegoś innego. My w Polsce nazywamy to piątą klepką.

BAR

MINUTA MYŚLENIA

Chwytaj kierownika

REMANENT", „Remont", „Przyjęcie towaru". W okienku kiosku bywa jeszcze: „Wyszłam na chwilę". Z tych etykietek jakiś Jean Effel, czy Lech Zahorski powinien utworzyć polski pejzaż w konwencji naturalistyczno-nadrealistycznej z dodaniem chmurek. Chmurki symbolizowałyby stan nerwowy Adama — Polaka zmuszonego żyć w tych warunkach socjo-technicznych, a także konkret niektórych kontaktów w systemie życia społecznego.

Właściwie to już nawet przestało denerwować. Nawet zeszło z pola obstrzału satyry. „Remanent" to coś takiego, jak biała flaga na gmachu, który w ten sposób odpada jako kontrahent boju. Jak czerwony krzyż na dachu szpitala, czy pocztowego ambulansu. „Przyjęciem towaru" dystrybucja nas zawsze zostawi z otwartą buzią.

Niezawodna ta praktyka przedostaje się również na teren urzędów. Idziesz z jakąś sprawą i dowiadujesz się, że nie ma kierownika. Wiemy, że nici z załatwienia. I ta odpowiedź prawem nie wiadomo jakiego kaduka zaczyna być niepodważalna. Jak by nie było oczywiste, że instytucja przede wszystkim istnieje dla interesantów. Ale komu to powiedzieć? „Nie ma kierownika". „Remanent".

Zastanawiające, że samo biuro nie widzi w tym nienormalności. Przecież jeśli kierownik tak zorganizował pracę, że w swoim biurze na dobrą sprawę jest jedynym czynnym urzędnikiem, to może go wszędzie zabraknąć, tylko nie w miejscu, gdzie jego obecność sprawy rozstrzyga! Jeśli zaś tok pracy wymaga jego obecności w paru miejscach, nie może całkowitej kompetencji gromadzić na swojej wyłącznej osobie. Kurs i wszystko, co dotyczy okrętu, należy wyłącznie do kapitana. Czy to znaczy, że kapitan w ogóle nie śpi, albo że okręt w nocy stoi na kotwicy?

Sprawy „większego formatu"... Zgoda, ale nie tylko dla takich urząd istnieje, a przede wszystkim nie mogą być one powodem jego paraliżu. Czy w zespole administracyjnym nie znajdzie się nikt, kto potrafi poprowadzić biuro przez jeden dzień w myśl wytyczonego kursu pod nieobecność jednego człowieka? Brawa dla organizacji i wewnętrznego zgrania w takiej instytucji i to brawa pod adresem właśnie kierownika.

Poczekać? Później przyjść? Owszem, nie dziura w niebie, ale przecież jakaś cząsteczka energii społecznej idzie sobie na wagary. Jakiś trybik nie zaskakuje. Jakiś erg społecznej pracy przedostaje się poza transmisję. A pomnożony przez logarytm z niewiadomej podniesiony do niedorzeczności skutkuje na rzecz zmniejszenia zbiorowej operatywności. Koordynacja, koordynacja. Nie potrzeba aż zapożyczeń z łaciny, by prostą rzecz chwycić za całkiem małe różki.

Aha, bo kierownik lubi z siebie robić latającego Holendra, by nie być posądzony o kostnienie za biurkiem? Nie bójmy się takiej biurokracji. Biurokracja to sposób, a nie miejsce pobytu. Właśnie biurokratycznie ocenialibyśmy pracę kierownika, gdybyśmy ją mierzyli ilością fotelogodzin, czy kilometrów na delegacji. Pozostańmy już przy „remanentach". Nie dodawajmy im pięknych „wyjazdów", „wyjść w naglej sprawie" i „służbowych nieobecności". Wzbogacimy w ten sposób współczesny leksykon, ale zubożymy zasób udanych potrzebnych przedsięwzięć.

Ijon

BIG-BEAT

Rozrabiacz czyli...

PANIE Redaktorze! Usłyszałem takie zdanie: „X rozrabiał, rozrabiał i wreszcie doczekał się — jego rozrobili". A co to właściwie znaczy, że X rozrabiał?

Niepokoi mnie samo sformułowanie „rozrabiacz", jako że przy odrobinie złej woli każdy, kto nie godzi się z ustalonym porządkiem rzeczy (a przez „porządek rzeczy" rozumiem i tzw. małą stabilizację, i wszelkie przejawy oportunizmu), może być pod to miano podciągnięty.

Załóżmy, że uczestniczę w konferencji samorządu robotniczego. Proszę o głos i mówię, że towarzysz dyrektor oderwał się od załogi, że nie liczy się z jej opinią, że żona towarzysza dyrektora korzysta ze służbowego samochodu, wozi nim marchew i kapustę, że telewizor, który powinien stać w świetlicy, znajduje się w prywatnym mieszkaniu towarzysza dyrektora. Wszyscy o tym dobrze wiedzą, szepczą po kątach, ale teraz, na zebraniu, nikt się nie odezwie, nikt mnie nie poprze.

Po tygodniu widzę, że jestem bacznie obserwowany, otrzymuję gorzej płatną robotę, a kiedy raz — nie ze swojej winy — spóźniam się 10 minut do pracy, otrzymuję upomnienie na piśmie z groźbą natychmiastowego zwolnienia, jeśli podobne przewinienie się powtórzy. Próbuję interweniować, usprawiedliwiać się, a w odpowiedzi słyszę: „Już dość narozrabiałeś. Jeśli będziesz rozrabiać dalej, wylecisz na zbitą mordę!"

No tak, wychyliłem się... Mam jednak pewną satysfakcję. Telewizor stoi już w świetlicy. A szofer dyrektora zwierzał mi się po cichu, że już nie jeździ po marchew i kapustę. W sumie więc wygrałem, krytyka pomogła. Co jednak przyniesie dzień jutrzejszy? Co będzie, gdy znów nastąpi awaria komunikacji miejskiej? Czy pozwolą mi się wytłumaczyć?

Piszę w formie „ja", ale rzecz jest autentyczna. Tę historię opowiedział mi kolega pracujący w Rzeszowie. Sądzę zresztą, że nie jest ważne miasto, ponieważ mogło się to zdarzyć w każdym kraju, w każdym mieście. Nikt nie lubi krytyki, to fakt. Ale im wyżej sięga krytyka, tym większe powinno być jej zrozumienie. Zwłaszcza wówczas, gdy krytyka jest konkretna, opiera się na faktach, a jej założeniem jest chęć usunięcia nieprawidłowości, przejawów dygnitarstwa, łamania norm życia społecznego.

Znam — nie tak znów wielką — Pewną Osobistość, która mieszka 300—400 metrów od Instytucji, w której pracuję. Dzień w dzień po tę Osobistość przyjeżdża samochód służbowy. Wszystko jest zgodne z przepisami, Osobistość ma bowiem prawo korzystania z samochodu, mimo dogodnych warunków komunikacji miejskiej. Pal jednak licho przepisy, komunikację miejską. Czy jednak tak po prostu dla podreperowania zdrowia, dla uzyskania lepszej kondycji Osobistość nie mogłaby pójść do Instytucji piechotą? Czy Osobistość wie, że kierowca służbowego samochodu wstaje godzinę przedtem, jedzie autobusem cztery kilometry na trasie dom — garaż i pilnie baczy, aby się pięciu minut nie spóźnić? A szofer jest takim samym obywatelem PRL jak i Osobistość. Nadmieńmy przy okazji, że obaj są członkami jednej i tej samej organizacji.

Jeśli powiem o tym, nazwą mnie rozrabiaczem. Nikt nie stwierdzi, że powodowała mną troska o zdrowie Osobistości i dłuższy o pół godziny sen kierowcy.

Rzecz z własnego podwórka. Jest sesja egzaminacyjna. Patrzę na rozkład egzaminów i włosy mi się jeżą na głowie. Trzy najcięższe egzaminy zgrupowano w kilkudniowych odstępach, kiedy można było zrobić rozsądną przeplatankę. Od czego jest starosta na naszym roku? Zwróciłem się do niego z pytaniem, czy nie mógł z profesorami przekonsultować innego harmonogramu? Spojrzał na mnie, jak na Marsjanina. „Czyś ty zwariował? — oświadczył ze zdziwieniem. — Chcesz, żeby mnie nazwano rozrabiaczem? Ja chcę żyć i... zdać te egzaminy".

Nie szafujmy słowem rozrabiacz. Nie tylko z tego względu, że słowa tego nie znajdziemy w słowniku poprawnej polszczyzny. Zamiast: rozrabiasz, mówmy: masz, lub nie masz racji. A gdy ktoś nas po prostu obrazi, możemy wystąpić do sądu. Co prawda niektórzy zalecają wymierzanie sprawiedliwości na miejscu, tradycyjnym sposobem.

Pan Redaktor myśli o pojedynku? Bzdura, bo kto ma dzisiaj bilet wizytowy? Tradycyjny sposób to mordobicie. Jestem przeciw, bo wówczas i obrażający i obrażony mogą stanąć przed kolegium. Obaj też mogą otrzymać jednakową karę w złotych polskich.

A przecież za mniejszą sumę można się pojednać, wycałować i w dodatku dać zarobić uspołecznionej gastronomii. Kto się po tym felietonie obraził, może mnie zaprosić do baru „Pod karasiem". W najbliższy poniedziałek między 16 a 17 czekam na ewent. telefony.

Jacek

Odpowiedzi redakcji

C. M. w Kaliszanach. Przesyła Pan dwa wiersze, prosząc o wydrukowanie przynajmniej jednego. Niestety, tym razem musimy odmówić. „Pełnia lasu" jest utworem bardzo nierównym, na drugą część nie starczyło już Panu oddechu. To po prostu wtórność literacka. Ten sam zarzut można postawić również wobec drugiego wiersza.

A. T. w Warszawie. Z trzech nadesłanych utworów zatrzymujemy wiersz zaczynający się od słów **„Gdy brak mi ciebie"**, który wydaje nam się najbardziej osobisty. Na druk musi Pan jednak poczekać.

J. G. w Morągu. „Tańczące schody" to utwór wyraźnie klasycyzujący, ale wtórny, przede wszystkim — stylistycznie. **„Wśród zimy"** — stereotyp. **„Portret bliskiego"** zupełnie się Panu nie udał. Podoba się nam jedynie **„Melodia powrotu"**, którą zatrzymujemy w teczce redakcyjnej, z tym zastrzeżeniem, że również na druk będzie Pan musiał zaczekać.

P. B. w Tomaszowie. Pisze Pan: **„Zrzędliwa „Kameno", gdybyś była rzeczywiście nimfą, albo chociaż tej płci, co wdzięczna ta osoba, na pewno dawałabyś bardziej urocze kosze pretendentom do Twego natchnienia".** Hmm... Nimfa nimfie nierówna. A kto widział zrzędliwą nimfę? Ma Pan 19 lat (jak wynika z listu), ale po lekturze Pana listu moglibyśmy sądzić, że... siedemdziesiąt. **„Przestrach"** ma szlachetne intencje, ale temat wyzyskiwano już wielokrotnie... i lepiej. Po lekturze wiersza **„Skarga jąkająca. Śmierć najważniejsza"** myśmy też jęknęli. Po co te **„dziwu rozłogi", „krwawe zrozpaczenie", „zdrój serdecznych żył", „ślad krwawy"**? Mamy też wątpliwości, czy współczesny **„Mędrzec zadumany"** (bohater innego wiersza) przejmie się odzywką głupiego dziecka? Jak ów mędrzec **„subtelnym ruchem trzepał torbę starą"**? Co możemy radzić? Trudno, bo pisać Pan i tak nie przestanie. Warto jednak, aby uzupełnił Pan swoją lekturę o utwory, które powstały już w dwudziestym wieku.

E. S. w Białymstoku. Uważnie przeczytaliśmy nadesłane wiersze. Oto kilka uwag. **„Czas niepowrotny"** — niespoistość, brak wyczucia nośności słowa, trochę pretensjonalizmu. **„Posiadanie"** — bardzo by to było żałosne, gdyby bogactwo drzewa stanowiła jedynie kora. Metaforyka ograniczona. **„Sad kwitnący"** — temat ograny, nic nowego Pan nie powiedział. **„Strusie"** — sam pomysł jest stereotypowy. Fraszka to nie jest, prawda głęboka — też nie. Przepraszamy, ale dlaczego ów na wiatr wystawiany kuper jest... cudzy? itd., itd. Warto więcej myśleć i czytać, a mniej pisać.

P. M. N. w Warszawie. Do Pana przesyłki dopłaciliśmy 1,20 zł. Przed wysyłaniem wierszy do redakcji warto bliżej zapoznać się z obowiązującymi opłatami pocztowymi. Bardzo wydumane są te Pana erotyki, wydaje się nam, że w nadesłanych utworach zbyt wiele pseudofilozofii. Kto wie, może uda się Panu zadebiutować, prosimy po pewnym czasie znów nam coś nadesłać.

„Nemo". „Ust daktyle" — niemodne, zresztą nikt w redakcji daktyli nie lubi. W **„Śnieżnym heroldzie"** dziwi się Pan: **„płakałem w nocy, że nie pukał wiatr: interesu nie miał"**. A jaki Pan mógł mieć interes do wiatru? **„Dramat letniej nocy"** wzruszył nas do łez, dlaczego jednak występuje Pan w charakterze jelenia? Oj „Nemo", „Nemo"!

W. S. w Konarach. Drzewa, proszę Pana, przeważnie na miłość nie czekają. W Pana wierszach wiele wtórności i trochę grafomanii. Wtórność można zwalczać, gorzej ze zwalczaniem... grafomanii.

M. Ł. w Kłodzku. Cieszy nas sympatia, jaką żywisz do naszego pisma. Niemniej, tego, co nam zaprezentowałeś, jeszcze poezją nazwać nie można. W dziesiątej klasie rzadko zresztą bywa się poetą. To na pocieszenie.

S. S. w Lepnicy. „Tętno" — miejscami bardzo interesujące. W **„Erotyku"** radzilibyśmy usunąć końcowy fragment od słowa **„ogłaszam"**, natomiast utwór pt. **„W imię człowieka"** uważamy za publicystykę.

K. R. w Lublinie. „Dzień pierwszy" — to zlepek różnych motywów. I skąd ten tytuł? Stylistykę ma pan młodopolską. A ten pan, z którego zapożyczył Pan motto, nazywa się J. Updike. Trzeba dużo czytać i chyba jeszcze nie pisać samemu, mimo że udało się Panu zadebiutować w gazecie.

Z życia menażerów

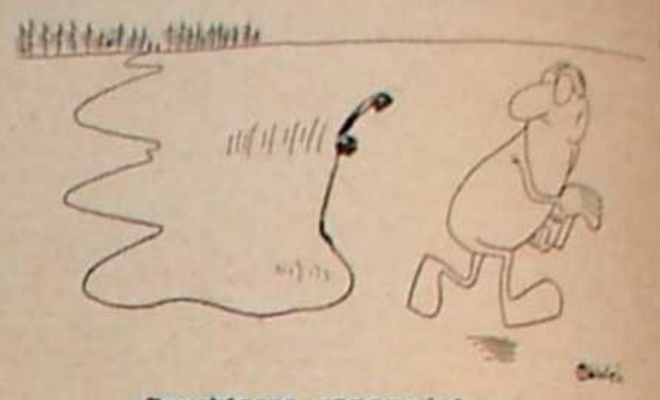

– Dyrektorze, zapomniał pan...

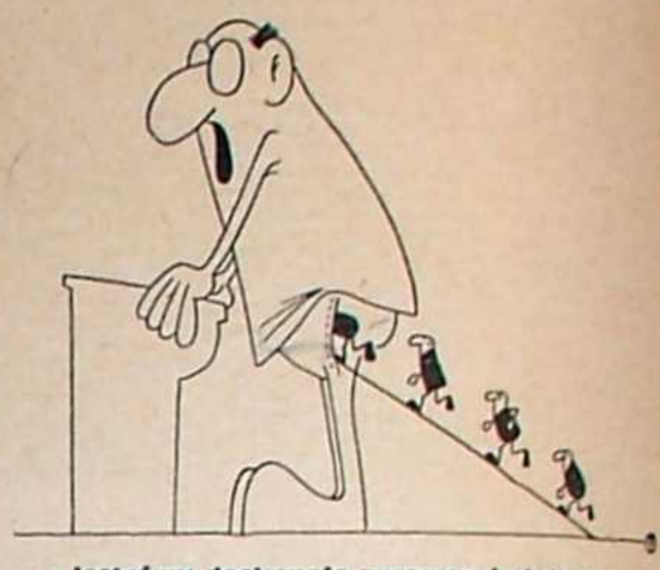

– Jesteśmy doskonale zgranym kolektywem

Rys. W. Fuglewicz

NOTY i notki

DONOS. Donoszę Panie Redaktorze Naczelny „Współczesności", że w 11 n-rze magazynu społeczno-kulturalnego „Pomorze" ukazał się wiersz Bogdana Justynowicza pt. „Przeciąganie liny". Jednocześnie donoszę Panie Redaktorze Naczelny „Pomorza", że w 12 n-rze czasopisma literackiego „Współczesność" ukazał się wiersz Bogdana Justynowicza pt. „Przeciąganie liny". Jako czytelnik muszę obiektywnie stwierdzić, że wiersz Justynowicza „Współczesność" potraktowała lepiej drukując go na trzeciej stronie, podczas gdy „Pomorze" — na stronie dwunastej. Tytuł we „Współczesności" jest pomarańczowy, w „Pomorzu" — czarny. Czcionka w „Pomorzu" — nonparel czarny, a we „Współczesności" — petit czarny. Ciekawiłby mnie jeszcze, kto zapłaci większe honorarium?

„WALKA MŁODYCH" prowadzi sympatyczną rubrykę pt. „Nasze kaczeńce". Za „Listy z kaczeńcem" redakcja wyróżnia czytelników. Rozumiem, że Władysław Białek został zaproszony na dwudniowy pobyt do Warszawy, że wiele osób dostało bony książkowe. Pewną wątpliwość wzbudziło u mnie natomiast wyróżnienie Renaty Zając z Tomaszowa Mazowieckiego. Wyróżnienie owo polega na ...towarzyszeniu ulubionemu autorowi „Walki Młodych". Może na to spotkanie warto by jeszcze zaprosić przedstawicieli telewizji, kroniki filmowej, radia, prasy stołecznej i wojewódzkiej? A swoją drogą trochę mi to pachnie megalomanią.

TYTUŁY (parada!) z 23 n-ru „Kultury": „Co wyłoni się z chaosu?", „Dokąd ...ale i skąd idziemy?", „Krytyka architektury — tak ale jaka?", „Co z Francją?", „O co zazdrosna?". Mam jeszcze jeden znak zapytania: jak by sobie „Kultura" radziła z tytułami, gdyby zabrakło... pytajników?

KTT dziwi się w tym samym numerze „Kultury", jak to się dzieje, że codziennie znajdujemy pod drzwiami butelkę mleka? „To mleko przecież ktoś codziennie doi (mleko się doi czy krowę?), ktoś zawozi do jakiegoś punktu skupu, ktoś butelkuje, ktoś dostarcza do sklepu i wreszcie ktoś stawia pod drzwiami". Co tydzień kupuję w kiosku „Kulturę". Jak to się dzieje? Ktoś tam do tej „Kultury" pisze, ktoś to administruje, ktoś to drukuje, ktoś to rozwozi do kiosków. Ludzie, jak to się dzieje w 1968 roku nowej ery?

MIROSŁAW MALCHAREK (w sumie przez nasz zespół lubiany, jako że od czasu do czasu czyta i „Kamenę") uraczył swój bogato zdobiony organ „Wykrzykniki" dużym zdjęciem dziewczyny, która bez biustonosza li tylko w majteczkach, leży na trawce. Byłbym rad wiedzieć, — jako że chętnie obejrzałbym i oryginał — czy zdjęcie to zostało zrobione w łaskim bielańskim, czy w Ogrodzie Saskim? Gdyby tak „Wykrzykniki" przenieść z ostatniej na pierwszą stronę „Współczesności"! Gwarantuję dziesięciokrotny wzrost nakładu.

MAJ

MAJOR SKALSKI, były uczestnik walk o Londyn, przed kamerami telewizji" — donosi dumnie „Ekran" w podpisie do zdjęcia w nr 21. Czyżby nikt z redakcji nigdy nie był w wojsku? Bo na zdjęciu widać wyraźnie oba naramienniki z dwoma paskami i dwiema gwiazdkami, co w Wojsku Polskim oznacza stopień podpułkownika.

„PIESZCZOTY, CZUŁOŚCI" — pod takim tytułem w nr 23 „Dookoła Świata" ukazała się krzyżówka reklamowa PKO. Nic dotychczas nie słyszałem, aby oszczędności z tej dziedziny można było lokować w tym sympatycznym banku. I bardzo ciekawi mnie (chyba nie tylko mnie) w jakiej formie wypłaca się procenty? A swoją drogą, jak można krzyżówkę pod takim tytułem zaczynać od hasła (pionowo 1): niesmak wywołany nadużyciem?

OSTATECZNIE Z CAŁEJ ELUKUBRACJI, która miała być filmową recenzją, wynika, że Kazimierz Lubelski wierzy w duchy, a „Kierunki" to afirmują. Czytamy bowiem w nr 21 na marginesie telewizyjnej serii „Świat grozy": „Że niby ...nie ma upiorów na świecie"? (...) „Czy nie zdrowszy jest dreszczyk wywołany przez pokutującego ducha niż dreszcze, jakich doświadczamy oglądając wiele obrazów, mówiących o jak najbardziej konkretnej rzeczywistości"?

COŚ SIĘ POPSUŁO z listami do „Polityki". W nr 13 z 8 czerwca 1968 r. czytamy w pierwszej szpalcie: „W związku z artykułem Magdaleny Bajer (Polityka 13) pragnę" — Łatwowierny — zajrzałem do nr 13 oczywiście tego z roku 1968 — i artykułu o magistrach administracji nie znalazłem. Drobiazgowe poszukiwania wykazały, że chodzi o nr 13 z roku 1967. Kto więc obudził się po 15 miesiącach: redakcja „Polityki" czy czytelnik?

BOHDAN DROZDOWSKI jeszcze w nr 10 „Współczesności" wyznał najpierw, że od dwóch lat codziennie ogląda telewizję brytyjską, a nieco dalej, że się tylko o nią ociera. W sumie zaś z entuzjazmem chwali brytyjskie programy rozrywkowe i proponuje Kobieli oraz „ekipie młodych ludzi", aby pojechali do Londynu uczyć się robienia śmiesznych programów w rodzaju obrzucania się ciastkami, biegania przed kamerą w kalesonach oraz używania dźwięków „bul-bul" zamiast wyświechtanego „kocham cię".

NIE CZEPIAM się różnych marynarskich czy morskich słów, nawet, jeżeli są niezbyt zgrabnie tłumaczone z angielskiego. Ale jeżeli „Tygodnik Morski" (nr 23) używa takich wyrażeń jak „zwędrowywując lądy" czy „Zrzeszenie Ubezpieczycieli" — to dostaję morskiej choroby.

W RZESZOWIE od dwóch miesięcy można kupić dobrą część damskiej bielizny tylko w kolorze różowym. Panie podobno są zrozpaczone jednostajnością, natomiast panowie twierdzą, że: 1) różowy to kolor napawający optymizmem, 2) wobec utrzymującej się mody mini bez specjalnych okularów widzą świat na różowo, co jest wysoce pocieszające.

JOD